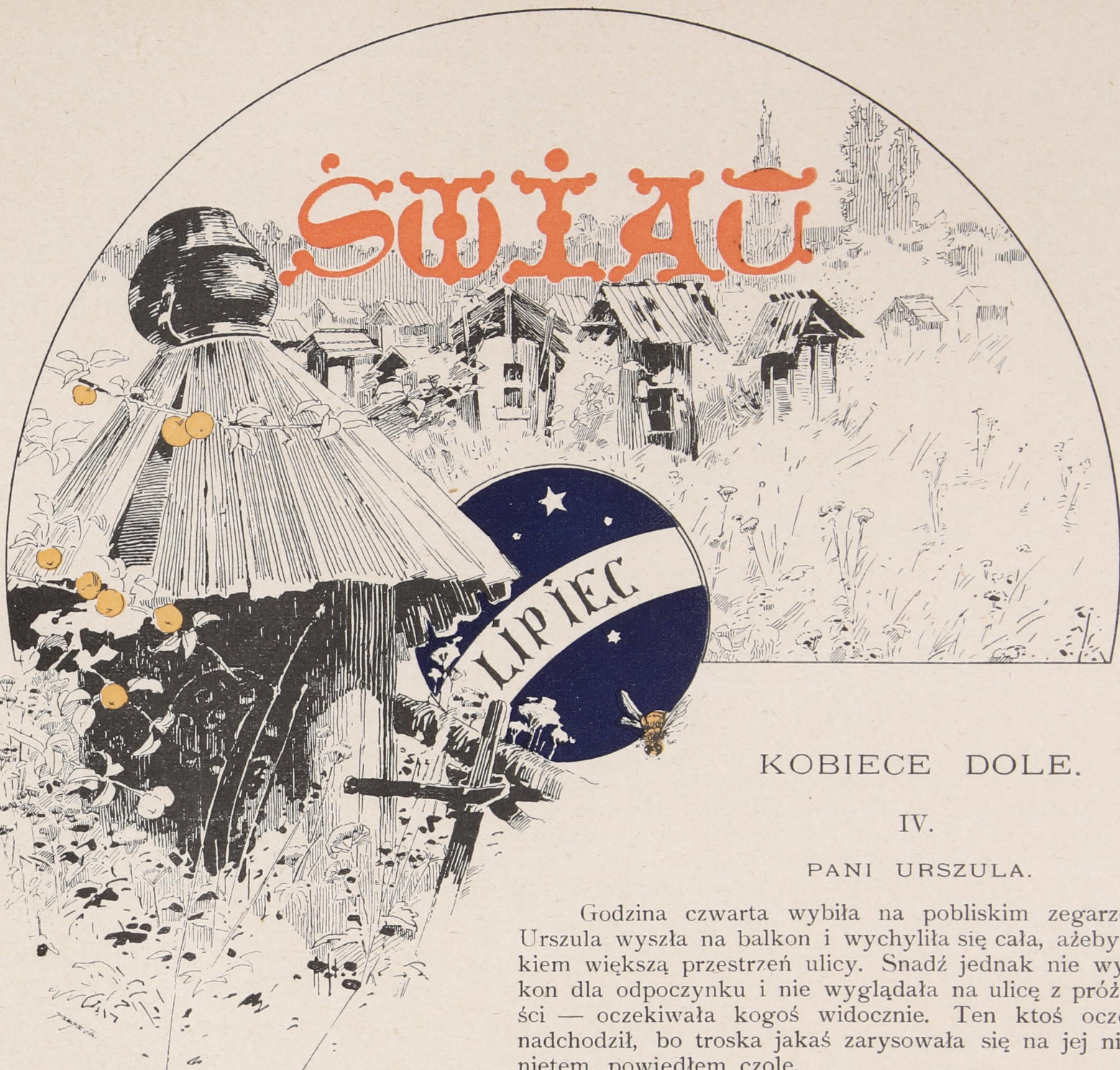




KOBIECE DOLE.

IV.

PANI URSZULA.

Godzina czwarta wybiła na pobliskim zegarze, gdy pani Urszula wyszła na balkon i wychyliła się cała, ażeby objąć wzrokiem większą przestrzeń ulicy. Snadź jednak nie wyszła na balkon dla odpoczynku i nie wyglądała na ulicę z próżnej ciekawości — oczekiwała kogoś widocznie. Ten ktoś oczekiwany nie nadchodził, bo troska jakaś zarysowała się na jej niezbyt rozwiniętym, powiędłym czole.

Odeszła od okna niezadowolona i udała się do kuchni, skąd smaczna woń potraw rozchodziła się dokoła.

W jadalnym pokoju siedziało już dwóch chłopców w mundurkach gimnazjalnych i pensyonarka oczekując obiadu; małe zaś, kilkoletnie bobo, przysuwało z hałasem wysokie krzesło do nakrytego stołu.

Cała gromadka spoglądała z pożądlivością na drzwi kuchenne, w których co chwila ukazywała się głowa kucharki Małgorzaty, więcej rozgniewanej niż niespokojnej z powodu spóźnienia.

— Czy dawać obiad? — pytała.

— Pana jeszcze nie ma — odpowiadała matka.

— Taty nie ma — wtórowały dzieci.

— Baranina się na nic przepieczę, kalafiorzy rozgotują, legmina opadnie — prorokowała groźnie Małgorzata.

Na te słowa zasępiły się twarzyczki dziecinne, ale bardziej jeszcze zasępiła się twarz pani domu.

— Małgorzato, pan się będzie gniewał — wyrzekła z rodzajem prośby.

— Ja tam temu nie winna — odparła trzaskając drzwiami. — Nie wiedzieć dokąd czekać potrzeba.

Pani Urszula powróciła na balkon, a tym razem i pensyonarka stanęła przy niej.

— Mamo — wyrzekła — kazano mi przynieść książkę.

— Jaką książkę? — spytała z takim przestachem, jakby fakt ten zawierał jakąś straszną groźbę.

— Botanikę z rycinami.

— To będzie bardzo droga.

— Ja nie wiem, ale pewnie będzie droga — odparło dziecko.

Kiedy człowiek łąkę kosi,
Lada baba deszcz uprosi.

W lipcu słońce kiedy grzeje,
Ciało ludzkie więc słabiej.
Przeto, ku swojemu zdrowiu,
Lekarstwo miej w pogotowiu.

Żyw mnie (pszczołę) do św. Jana,
Zrobię z ciebie pana.

Deszcz na Nawiedzenie Panny,
Pogoda pewna do Zuzanny.



I znowu stały w milczeniu na ganku.

Minuty biegły, upłynął kwadrans, aż wreszcie rozległo się słowo: »idzie!« — a pensyonarka poniosła je do kuchni z szybkością strzały.

W głosie jednak pani Urszuli nie było radości, jaką budzi widok ukochanej osoby, nie pobiegła od okna ku drzwiom, ażeby otworzyć je czempredzej i rzucić się na szyję spracowanego męża. Nie, ona tego nie uczyniła, a nawet twarz jej blada i posępna nie straciła ani na chwilę zwykłego wyrazu.

I mąż wchodząc do mieszkania, nie powitał jej wcale serdecznym słowem. Był czegoś niezadowolony, a pospolita twarz jego miała wyraz przebiegły i złośliwy, który mroził słowa na ustach otaczających.

Zmiany jego rysów znała dobrze, jak niewolnik zna fizyognomię swego władcy, albo pies swego pana. On był w złym humorze, a tu obiad był przegotowany, a Zosia potrzebowała książki.

On był w złym humorze!... więc dzieci w milczeniu pocałowały jego rękę, a nawet małe bobo stało cierpliwie, czekając aż kto je wsadzi na krzesło — i nie napierało się niczego.

On był w złym humorze!... poznała to dobrze Małgorzata wnosząc wazę, ale ona jedna faktu tego nie wzięła do serca. Gniew pana nie obchodził ją zbyt, czuła się w swoim prawie, a zresztą taką służbę, jak tutaj, znaleźć mogła każdej chwili, gdyby jej kto marne słowo powiedział. Ona przecież nie brała ślubu z tym domem, nie była żoną pana Józefa, ażeby znosić jego gniewy, skąpstwo i kaprysy.

Pan Józef zjadł zupę w milczeniu i w milczeniu niczem nieprzerwanem jadła ją cała rodzina, tak dalece, iż słychać było rytmiczne uderzenia łyżek o talerze; ale przy pieczeniu wybuchnęła burza; — pieczeń była na nic wysuszona.

Żona nie śmiała nawet zrobić mu uwagi, iż spóźnił się o całe pół godziny na obiad, który musiał być gotowy, bo wszakże on czekać nie chciał nigdy jednej minuty. Nie była biegłą w argumentacji, a przytem wiedziała z doświadczenia, że każda, najlżejsza nawet uwaga, powiększała gniew jego. Zresztą, może i miał słuszość gniewając się, skoro cośkolwiek w domu nie szło po jego myśli, — wszakże on pracował na utrzymanie całej rodziny, on kłopotał się, borykał z losem, a każdy kęs tego chleba, jaki ona i dzieci spożywali, udzielany im był przez niego. Za to należało mu się przecież by dogadzano jego gustom, by pielęgnowano go troskliwie i oszczędzano grosz krwawo zapracowany.

Powtarzał on to żonie co chwila od dnia ślubu i potrafił ją przekonać najzupełniej o swoim poświęceniu, o wielkości ofiar, jakie dla rodziny ponosił, chociaż kwitnące jego oblicze wyglądało młodo, świeżo, rumiano, przy wynędzniałej twarzy i zapadłych oczach małżonki.

Praca jego w jednej z instytucji prywatnych ograniczała się na kilku godzinach. Wprawdzie przed dzieśnią wychodził z domu a wracał o czwartej, zwykle jednak koło południa szedł z biura na śniadanie, które najczęściej fundował mu który z interesantów, miał bowiem wpływowe stanowisko. I te to śniadania podobno czyniły go tak wybrednym względem kuchni domowej.

Po obiedzie pan Józef szedł się przespać, a wówczas dzwonek u drzwi obwiazano, by dźwięk jego nie przeszkadzał mu wypoczywać; żona zaś i dzieci nie śmieli prawie przemówić. Po wypoczynku pan Józef ubierał się starannie i wychodził z domu. Gdzie szedł? Nikt go o to nie pytał, on jednak uprzedzając zapewne pytania, mówił, że ma interesa.

Interesa te odbywały się zwykle w resursie, w teatrze, w której ze znanych restauracji, lub też u znajomych, gdzie zbierało się męskie towarzystwo, ale tego pani Urszula nie wiedziała, przyzwyczaiła się bowiem nigdy nie badać postępku męża i przyjmować jako święte każde jego słowo.

Mąż jej wracał zwykle około pierwszej lub drugiej do domu i kładł się spać, wypiwszy wprzód filiżankę herbaty z cytryną, którą żona zawsze miała gorącą dla niego, a na drugi dzień rozpoczynał równie pracowity żywot. I nie dziw, on był chlebobdawcą rodziny. Jemu należała się rozrywka i wygoda, o którą wszyscy w domu przedewszystkiem starać się byli powinni.

Pani Urszula przejęta była tem uczuciem i wpajała je w dzieci. Nie przyszło jej nigdy na myśl, że ona o 6-tej rano była na nogach, a w nocy wstawała, ażeby przyrządzić wracającemu mężowi herbatę; ona od 6-tej rano gotowała, sprzątała, prała i usługiwała wszystkim; ona, której jedynym odpoczynkiem były godziny spędzone przy szyciu i cerowaniu ubrań dziecinnych, pracowała bez porównania więcej i ciężiej od niego, i że on, który przecież niczego sobie nie żałował, skąpił tak bardzo na domowe wydatki i dzieci, iż ona wiązała brzeg z brzegiem jedynie za pomocą niepojętej oszczędności.

Nigdy w jej jednostajnym życiu nie było rozrywki żadnej, nigdy nikt nie zatroskał się o jej zdrowie, przyjemność, wygodę. Natura obdarzyła ją siłą fizyczną i spokojnym, cierpliwym temperamentem, sama nie upominała się za sobą i za nią też nikt się nie upominał.

Mówiono jej nieraz, że widziano męża w teatrze w pierwszych rzędach krzeseł, nieraz sama brnąć po błocie za jakim domowym sprawunkiem, w chustce zarzuconej na kapelusz, z bawełnianym parasolem w rękę, spotykała go rozpartego w dorożce, lub wychodzącego z cygarem w ustach z pierwszorzędných restauracji. Ubioru jego pochodziły od jednego z najlepszych krawców, odznaczały się wykwinnym materiałem, w czasie, gdy ona sama sobie szyla suknie z resztek kupionych na wyprzedażach. Nie skarżyła się jednak nigdy.

Słyszała od dzieciństwa, że słodycz, cierpliwość, pokora, są to największe zalety kobiety, i że nie ma mężczyzny, któryby się oparł ich wpływowi. Wprawdzie nie działały one jakoś na pana Józefa, lub działały bardzo powoli, bo pomimo to, obojście jego z żoną było szorstkie, nie dzielił się z nią ani sercem, ani myślą, nie darzył jej zaufaniem, nie mówił nigdy o swoich nadziejach, pracach, zamiarach, a posuwał to nawet do takiego stopnia, że pani Urszula nie miała pojęcia o wysokości dochodów męża.

Był to wyborczy sposób trzymania jej w szachu i udawał się doskonale, pani Urszula tylko w ostateczności udawała się do męża, gdy potrzeba jej było koniecznie zrobić jakiś wydatek dla dzieci lub samej siebie, potrafił ją bowiem przekonać, że tylko z największą trudnością dać jej może sumę miesięczną, przeznaczoną na

utrzymanie domu i naukę dzieci. Wszelkie więc naddatki konieczne, chociaż dawane z niechęcią i gniewem, przyjmowała jako największą łaskę.

To też słowa pensyonarki, proszącej o książkę, nie wychodziły jej z pamięci, był to właśnie koniec miesiąca, a kasa pani Urszuli znajdowała się w zwykłym o tej porze stanie suchot, nie pozwalającym myśleć o jakimkolwiek nadzwyczajnym wybryku. Dziewczynka tymczasem bez względu na zły humor ojcowski, który się uwi-
docznił przy obiedzie, szeptała matce:

— Ja dziś koniecznie muszę mieć botanikę, pan X. przykazał, byśmy ją na lekcję przynieśli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WALERYA MARRENÉ.

CO SIĘ DZIEJE Z GWIAZD PROMIENIEM...?

Co się dzieje z gwiazd promieniem,
Gdy go czarne mgły zasłonią,
Z niespełnionych snów marzeniem,
Z niezerwanych kwiatów wonią?
Z blaskiem tęczy, która znika,
Z niebudzonym echem pieśni,
Z szumem cichych fal strumyka,
Z chwilą, gdy ją serce prześni?
Z wiarą młodą i zapalem,
Z uczuciami, które więdną,
Z niewcielonym ideałem
I z nadziei gwiazdą błędną?
Co z młodości siłą całą,
Z szczęściem, które los rozwieje,
Z sercem, które nie kochało,
O! mój Boże! co się dzieje?...

HELENA.

TEOFIL LENARTOWICZ.

(Ciąg dalszy).

Lenartowicz miał naturę niezmiernie wrażliwą. Jeśli w kwestjach przekonań i uczuć pozostał zawsze niezmiennym, jeśli przez ciąg długiego życia nie zachwiał się nigdy w miłości ojczyzny, nie zawahał co do sposobów, jakimi służyć jej trzeba, to w rzeczach mniejszej wagi ulegał łatwo wpływowi otoczenia. Dostrzedz łatwo w tonie jego kilku poezyj ówczesnych, wpływ gwałtowniejszych współtowarzyszów. — W tymże samym czasie co wiersz »Do poezyi« ukazał się również w *Bibliotece Warszawskiej* wiersz innej zupełnie treści: »Rzeźbiarze«. W swoim czasie zyskał on sobie wielki rozgłos, chociaż, w porównaniu do poprzednich, wydaje się chłodny, refleksyjny, ukuty widocznie na patron estetycznej rozprawy; ciekawy jest jednak z kilku powodów. Najpierw w doktrynach, jakie głosi autor — z pewnością siebie dotąd nieznaną mu zupełnie — widać piętno mistycznych pojęć, właściwych zarówno romantyzmowi, jak i nowemu jego wykwitowi, będącemu znamię całej tej szkoły. Autor był w tonie ze swem otoczeniem, i to właśnie nadawało mu tę pewność. Przemawiał nie sam od siebie, ale w imieniu wielu.

Faktem ciekawym także, jest tu przeczucie przyszłego zawodu, o którym, jak się zdaje, nie marzył wówczas Lenartowicz. Sztukę plastyczną — wśród grupy — reprezentował wszechstronnie utalentowany Cyprian Norwid, rysownik i rzeźbiarz, pod którego natchnieniem zapewne wiersz powstał. W obec jednak tego, iż Lenartowicz jał się dłuta w późnym już wieku, nasuwa się psychologiczne pytanie, czy już wówczas sztuki plastyczne go nie kusiły? czy też przeciwnie, wiersz ten, sławiony do zbytku, nie podał mu w na-

stępstwie myśli poświęcenia się rzeźbie? To jednak pewne, że kilkanaście lat później, w Rzymie, nie próbował jeszcze swoich sił w sztuce i niczem nie dawał poznać przyszłego kierunku.

Treść »Rzeźbiarzy« stanowi dyalog pomiędzy mistrzem a uczniem; forma ta przypomina rozmowę Goethego pomiędzy wędrowcem a niewiastą, lub też »Dziadka« Brodzińskiego; wiersz musi z konieczności być dydaktycznym, ale autor nie ograniczając się sztuką, w której każe naprzód i przede wszystkim szukać życia, wciela w nią losy ludzkości, i kończy temi słowami, wypowiedzianymi przez mistrza:

Królestwo Boże na ziemi,
Oto rzeźbiarzom wyrocznia.
Gdy Bóg utworzył człowieka,
Na siódmy dzień miał spocznienie.
Gdy przyjdzie ducha istnienie,
Pielgrzym spoczynku doczeka.

Jest to bardzo mglista historyozofia, ale w owym czasie mglistość uważana była za konieczny warunek piękna. Lenartowicz, którego talent odznaczał się prostotą i przejrzystością, uległ powszechnemu prądowi w tym wierszu i dlatego właśnie brak mu rzeczy, stawianej przez mistrza na pierwszym planie — życia.

Kierunek ludowy w poezji zaznaczył się bardzo wyraźnie w całej grupie. Wolski pisał »Ojca Hilarego«, »Połosekę«, »Halke« później przerobioną na libretto opery; Zmorski i Cyprian Norwid potracali o ludowe podania. Poezja ta jednak w Lenartowiczu znalazła najdoskonalszy swój wyraz. Odbijał on zapewne, jak i inni jego towarzysze, piesze wędrówki po kraju, gościł długo nad brzegiem Bugu w gościn-

nym domu państwa M., poznał rzekę otaczające równiny i lasy, i udało mu się pochwycić prostotę i malowniczość ludowego języka, trafić na ton mu właściwy i skreślić z nieporównanym wdziękiem obrazy naszych pól, chat i dworów. Jeśli w pierwszych utworach poeta okazał się rzeźbiarzem słowa i wykuł niemi posagi »Białoramiennej dziewczicy« i »Arcykapłana«, teraz przedzierzgnął się w malarza, którego pendzel oblewa i ogrzewa słońce, a wyrazy mają harmonijny rytm muzyki. Jakże cudnie n. p. opisuje on w drugiej »Lirence« brzegi Wisły i otaczające ją łąny:

A Wisła, ta rzeka,
Co w morze ucieka,
Co to szara z bliska,
A modra z daleka,
Gdzie siedząc na tratwie,
Flis przygrywa dziatwie,
I spławia za morze
Mazowieckie zboże.
A kaździutkie pole
Równe jak po stole.
Kędy z każdą wiosną,
Gdy pszenice wzrosną,
A wietrzyk powieje
I zboże kłosieje,
To zda się w tem zbożu
Człęk pływa jak w morzu,
A wietrzyk kłosami
Buja jak falami.
Ach! w niebie kraj taki
Jak polskie krainy.
Bo jakie chłopaki!
A jakie dziewczyny!
Mój Boże jedyny!

Czytając ten wiersz przesuwają się przed oczyma obrazy spokojnej ojczystej rzeki, dźwięczy w uchu tęskny głos wierzbowych ligawek, widzi się płowe fale zbóż, kłoniących się pod wiatru powiewem i na myśl pada wielki spokój, odbity od błogosławionej ciszy swojej przyrody. Po arcymistrzu poezji naszej, malarzu puszczy i wiosek litewskich, nikt tak dosadnie, z tak głębokim pojęciem, nie dotknął podobnego przedmiotu i tak zupełnie zadaniu nie podołał. Lenartowicz jednak, tak samo jak Mickiewicz, obrazek ten kreślił nie z natury, ale z pamięci. On także nosił go w sobie; utrwalala go tęsknota, a utrwalala tak dobrze, iż blisko przez pół wieku, bo do ostatniej chwili życia, nie zatracił ani barwy, ani nuty swojskiej. Kiedy jednak krajobraz przychodzi zaludnić postaciami jego mieszkańców, poeta — dopóki był w kraju — znajdował się w trudnym położeniu, bo cenzura nakładala mu kaganiec na te uczucia, których miał pełne serce, których w ludzie szukał i dopatrzeć umiał. Dopiero w utworach wyszłych za granicą, znajdujemy opisy ludu w różnych stanach i okolicach, opisy prawdziwe, choć może poeta umiał wybierać, ale pominawszy wiele, znalazłszy raz czego szukał, potrafił zawsze utrzymać właściwy ton, nutę i miarę każdemu stanowi właściwą. — Za przykład może posłużyć »Kołodziej«



Rysował TADEUSZ POPIEL.

X. AMBROŻY FEDEROWICZ.
PRZEOR OO. PAULINÓW.

Hej Macieju kołodzieju!
Zróbcie no mi koła,
Bo dziewczkę dobrodzieju
Wiozę do kościoła.
Jeno tam nie bardzo drogo,
Bo dziewczkę ubogą.

Wiem ci ja żeś niebogaty,
Ona nie bogata.
Żebyście nie mieli straty,
Zapłacisz dukata.

Oj Macieju, kołodzieju,
Zwiodłem was nieboże,
Toć ja ojca rodzzonego
Na cmentarz wywożę.
A wyście go majstrze znali,
Boście się kumali.

Kołodziej rozrzuwiony
zniża zapłatę na talara. Kiedy jednak dowiaduje się, że jego koła mają wieźć armaty, a te armaty idą na Moskali, woła pełen radości:

— A toć prawda, a niechże ci
Matka Boska świeci.
Nie chcę ja tam brać zapłaty. —
I na chłopców woła:
— Bierzcie drzewo na warsztaty,
Robić mocne koła,
Jeno żywo, nie niedbale,
Bo zemkną Moskale.
A ty chłopcze idź wesoło
Do swoich żołnierzy,
I powiedz im, że za koło
Nic się nie należy.
Powiedz im, że już zaczęto,
I że rychło będą mieli.
I dam jeszcze na mszę świętą,
By Moskali dyabli wzięli. —

Szewcy, wolarze, rzeźnicy opowiadają sobie na ucho polityczne wieści, przewoźnicy topią szpiega w nurtach Bugu, Kurpie przechowują w dziuplach broń, by na dane hasło rzucić się na Moskali, parobek Walek jadąc w pole, w czasie jesiennej deszczu, rozmyśla tylko o swojej biedzie, o sukmanie, której nie posiada, a najwięcej o podatkach, ciążących nad biednymi ludźmi — a chłopiec, który wszystko utracił, bo mu grad i pożar zniszczył dobytek, śmierć zabrała żonę i dziecko, z rozpacz przystaje do żołnierzy.

A wszyscy czynią to tak naturalnie, tak po swojemu, iż wierzyć trzeba, że poeta opisuje tylko rzeczy widziane i podsłuchane.

Lud nie był jedynym ukochaniem Lenartowicza. Otaczał on równą miłością i świat szlachecki, na który współtowarzysze jego ciskali gromy. Prawdziwym arcydziełem jego są »Listy ze wsi«, czyli »Mały świat«, w którym maluje modrzewiowy dwór stary i prostą gościnność dawnego obyczaju. Dwór i chata równie są miłe poecie, równie miłymi ich mieszkańcy. Po nad niemi wznosi się krzyż na zczerniałym kościółku i błyszczy w świetle, jak godło wspólnej wiary, nadziei i miłości. Być może, iż świat — w równie do-

skonałej formie, jak go maluje poeta — istniał jedynie w jego wyobraźni. Zarzut taki zresztą możnaby z równą słusnością postawić »Panu Tadeuszowi«. Przecież zaprzeczyć nie można, że w ustroju społecznym z przed czterdziestu kilku laty, można było odnaleźć wszystkie dźwięki podchwytywane w »Małym światku«.

oparcia i znalazł go tutaj nietylko w towarzystwie polskiem, zbierającym się tu zawsze, ale i w tem Cosmopolis, będącem zawsze powszechną stolicą wier-nych, do których kościoła należał sercem całym. Poeta nasz nie był właściwie mistykiem, tylko wierzącym głęboko, a wpływ otoczenia, tak zawsze na niego

TADEUSZ POPIEL.



SKAŁKA.

Poeta przedstawił go tylko w ideale ukochania. Jest to małe arcydzieło, w którym treść i forma łatwa, nieszukana — splatają się w doskonałą całość.

Porzuciwszy kraj, Lenartowicz czas jakiś tułał się po wzburzonej Europie, czynnego udziału jednak w wypadkach nie brał. Po kilku latach osiadł w Rzymie, pociągnięty niepojętym urokiem, jaki posiada wieczne miasto. Stęskniony i smutny, szukał punktu

przemóżny, wyegzaltował jego pobożność i nadał poezyi nowy kierunek. W Rzymie to, pod wpływem nowego nastroju, powstały wszystkie niemal religijne poezye Lenartowicza: »Zachwycenie«, »Błogosławiona«, »Święta praca«, »Święty Franciszek«, »Święta Zofia«. Poematy te — a zwłaszcza trzy pierwsze — pojęte są na sposób ludowy nasz, swojski, ale są one widocznie robione, i z tego powodu nieco zmaniero-

wane, przypominają najslabszy z poematów Zaleskiego »Najświętszą rodzinę« lub »Dzieciatko Jezus« księdza Hołowińskiego. Poeta przystosowywał tu żywem pie-szczony język, zdrobniałe wyrażenia, powtarzane z »Li-renki«, nie zawsze licujące z powagą przedmiotu. Wędrowki duszy po krainach wieczności powstać mu-siały pod wpływem »Boskiej komedii« Dantego, któ-rej niektóre pieśni właśnie w owym czasie tłóma-

czył Lenartowicz, ale ze wszystkich poetów naszych on niezawodnie najmniej był zdolny do pojęcia ponu-rej grozy zaświatowych krain. Krainy te u Lenartowi-cza mają koloryt i barwę mazowiecką; prawda, iż Zachwycona jest prostą wieśniaczką, ma więc prawo używać ludowych zwrotów i obrazów. Jest to jednak tylko pozór; — przemawia ona w rzeczywistości pie-szczoną mową samego poety.

(Dokonczenie nastąpi).

WŁADYSŁAW GROT.

Z DZISIEJSZEJ POEZYI POLSKIEJ.

I.

FELICYAN FALEŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Z dwóch tomików, które świeżo opuściły prasy drukarskie, poświęcony jest tylko jeden oryginalnej twórczości Faleńskiego, drugi zawiera przekłady. Ten pierwszy tomik: »Meandry«, składa się z dwustu mniejwięcej wierszyków, natchnionych wyłącznie re-fleksyą. Kunsztowną formą

. łamanemi zwroty,
Niby greckiej szaty bramowanie...

spisuje autor swoje zapatrywania na świat, ludzi i na-turę człowieczą, poruszając cały zakres obowiązków, jakie dla siebie i innych stawia. Wymagania ma pod tym względem podniosłe, zwłaszcza, iż książka prze-siąknięta jest duchem rezygnacyi ze wszystkich na-dziei na przyszłość i pragnienia uznania:

Czyż to raz w życiu służym za Rachele
A Lia bywa nam dana? (12).

Poeta patrzy jasno na świat, zdaje sobie sprawę ze wszystkich złych przywar społeczeństwa, ale spo-gląda na nie bez pesymizmu, ze spokojem i pobła-żaniem:

Nam istnieć tylko w dobę pastuszą
Z wietrzniemi łąk młodzieńczyki.
Blask nas przynęca próchna i miki,
Pozory wabią, mamiłła kuszą, —
Bośmy, zaprawdę ciałem i duszą
Polne koniki... (75).

Zupełna rezygnacya przebija także z tego spo-koju, z jakim Faleński przygotowuje się na śmierć, przed którą — zwłaszcza, że przychodzi niespodziewa-nie — nawet »najmężniejsi tchórz«...

Dźwięk bije! Dźwięk ten w przestrzeń się ulatnia,
A ja go słucham, zgiąwszy kornie szyję...
Znów pewnie życie wchłonie kędyś czyje
Wieczności bezdenna matnia.
A jeśli właśnie moja to ostatnia
Godzina bije?

Co? co? tak prędko? — Gdybyż, jak przed burzą,
Ostrzegające błyskania...
Wstydem na piersi głowa mi się skłania —
W chwili podobnej najmężniejsi tchórz...
Ach! do zrobienia jeszcze mam tak dużo
I tyle do zaniechania! (86).

Temat śmierci należy do tych, do których Fa-leński często powraca, czasem nawet z tym pogodnym uśmiechem na twarzy, z jakim się o rzeczach osobi-ście niemiłych i zatrważających nie zwykło mówić:

Gdy usłyszycie, jak gdzieś dzwony
W powietrzu śpiące budzą fale,
To wiedźcie, że to ja się chwałę
Z tego: iż jestem w chwili onej
Nogami naprzód — tam wiedziony,
Zkąd się już nie powraca wcale.
Wtedy mi, schodząc w bok, na stronie,
Zarówno wielcy, jak i mali,
Będziecie grzecznie czapkowali.
Ale ja wam się nie odклонię,
Bo będę miał złożone dłonie
I wzrok utkwiony w jasnej dali... (174).

Jest coś, co imponuje w tej filozofii praktycznej, zdobytej życiem całem, w tej gotowości porzucenia świata każdej chwili z uśmiechem na ustach, nie wy-pływającej bynajmniej ze sztucznych doktryn filo-zoficznego pesymizmu, lecz opartej, raczej na przeświad-czeniu o spełnionem zadaniu. Świat go zresztą nie pociąga; jest on piękny i ponętny — ale tylko na pozór, bo w rzeczywistości czuje autor

. Żółć w ponętach wszech słodczy,
W chwały blaskach — marne próchno! (87).

Szczęścia nigdzie znaleźć nie można, skoro go nie ma w ojczyźnie, która jest jakby jakimś olbrzy-miem kowadłem,

. w które kto chce od ucha wali... (84).

a my nawet nie wiemy, dla kogo to w Europie kują się dziś na tem kowadle kajdany!

Pijemy gorycz z pełnej czaszy,
A serce w nas goryczą schnie;
Słusznie to niegdyś w lepsze dnie
Rysiński naszych ojców straszy:
»Nie będzie dobrze w Polsce naszej,
Aż wprzód nie było bardzo źle«.

Więc wreszcie źle jest, co się zowie...
A kiedyż, wznosząc skroń pochyłą
Ponad pradziadów swych mogiłą,
W orzeźwiającej serc wymowie
Rzec będą mogli potomkowie:
Że źle się już odbyło? (190).

Ta bogata skarbnica refleksyi, jaką Faleński przed publicznością roztworzył, zasługuje doprawdy na to, żeby się z nią bliżej zapoznać. Niecodzienność wy-powiedzianych myśli, głębokość uwag, podniosłość tre-ści, piękność wyszukanej formy, w jaką się »Meandry« przyodziały — wszystko to są zalety, nie spotykane u wymuskanych autorów mydełkowatych strof, jakimi nas dzisiaj tygodniki i literackie pisma karmią. Wade

»Meandrów« stanowi — jak zwykle u Faleńskiego — spotykane czasami zawikłanie wątku wśród dobierania niezwykłych wyrazów i kunsztownych zwrotów. Ale przeszedłszy z uwagą kilkanaście »Meandrów«, przyzwyczajamy się do tego tak, że coraz mniej nas razi misterne łamigłówki językowe.

»Przekłady« Felicjana noszą na sobie rzymską cyfrę II. Siegnąwszy kilkanaście lat wstecz, odnajdujemy tom I, wydany w r. 1878 w Warszawie, pod tymże samym tytułem. Oba tomy zawierają tłumaczenia z najpierwszych poetów wszystkich czasów i narodów: począwszy od Hezydada i Juwenala, a skończywszy na Schillerze i Mussecie. Mają te tłumaczenia ogromną zaletę, iż są wszystkie dokonane wprost z oryginałów. Znać, że tłumacz zastanawiał się, co stanowi charakterystyczne znamiona u każdego z autorów i starał się je zatrzymać i powtórzyć wiernie. Stąd każdy z poetów oddany jest inaczej, a każdy (po większej części) bardzo trafnie. Jego Horacy jest rzeczywiście uśmiechniętym filozofem z nad Tybru, zachwalającym przy biesiadnym stole z kielichem w ręku mierność i cnotę:

(Dokończenie nastąpi).

Człek bez płamy pełen jest dziwnej siły!
Ni mu kołczan zatrutych strzał ni dzida
Maurów trybem, ni łuk się na co przyda —
Fusku mój miły! (I. 13).

Otrzymujemy tu poraz pierwszy po polsku w mistrzowskim przekładzie namiętne, ogniste inwektywy Juwenala, porywające siłą języka i przybijające do ziemi realizmem obrazów:

Nie, w Rzymie na nic nie zdam się nikomu!
Nie umiem kłamać. Nad nędzną ramotą
Śpię i odpisu jej nie pragnę w domu.
Nie czytam w gwiazdach. Synom też za złoto
Wieszczyc nie będę, rychło ojciec słaby
Nogi wyciągnie...
Też z rzezimieszki nie jestem w przyjaźni... (I. 96).

Była to jedna z najpilniejszych potrzeb naszej literatury. Otrzymaliśmy teraz wszystkie najważniejsze satyry: i tę sławną o kobietach (jedną z najostrzejszych rzeczy, jaką o słabszej płci kiedykolwiek napisano) i tę o rozwielnionych w Rzymie Grekach, którym Juwenalis wszystkie klęski i całe zepsucie obyczajów przypisuje. — Przez Wirgiliusza i Dantego przechodzimy potem do wieków średnich.

STANISŁAW ESTREICHER.

Z TEKI MIESZCZANINA POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Nie myślę przeczyć faktowi, że rozwój scholastyki byłby się obszedł bardzo dobrze bez tych epigonów, którzy jej ani nie pomogli, ani nie zaszkodzili, ale twierdzę z wszelką stanowczością, że wina nie spada na ludzi XV-tego wieku, lecz na wiek XIV-ty, kiedy to był czas stosowny właśnie zabrać głos w tych sprawach.

Przy takim tłumaczeniu objawów naukowych XV-tego wieku utwierdza mnie ta okoliczność, że poza filozofią, gdzie na Zachodzie prąd naukowy czynny był w kierunku nie tylko negatywnym, ale też pozytywnym, a mianowicie w historii i matematyce, tam stanęliśmy zupełnie na wyżynie wieku, a nawet w pierwszym staliśmy szeregu. Nieuzasadnione są narzekania na szkołę krakowską, która nie zmarnowała talentu ani Długosza, ani Kopernika, a do której Brudzewski ściągali uczniów z zagranicy. Katalogi rękopisów (moim zdaniem, zawsze najkompetentniejsze źródło dowodowe) wykazują, że matematyka, a głównie geometria cieszyły się całą rzeszą adeptów.

Pierwszym rezultatem naszego rozmyślenia byłoby tedy, że nauka polska średniowieczna byłaby wydała należyte rezultaty, gdyby uczeni w XIII-tego byli pozostawili po sobie... uczniów na wiek XIV-ty. Dlaczego zaś ojcowie polskiej nauki nie mieli dzieci, na to w źródłach odpowiedzi niestety nie znajdujemy.

Gdy później, w pierwszej połowie XVI-go wieku, nowy ruch, nowy prąd umysłowy przeniósł się na północ Alp, a my nie stanęliśmy od razu na jego wyżynie, nie zdążyliśmy od razu przyswoić sobie nowego, a konkretnego ruchu naukowego, pochodzi to stąd, żeśmy jeszcze nie zdążyli odrobić tego, co zaniedbał wiek XIV-ty. Ta fatalna luka sprawiła wszystko złe. Rozwój naukowy, a ciągłość jej, to jedno i to samo.

Spojrźmy teraz na wiek XVI-ty, na tę złotą dobę naszej literatury, która tyle niespełnionych obudziła nadziei. Tu obfitsze już źródła nie pozostawia

cierpkiego pytania »dlaczego?« — tak zupełnie bez odpowiedzi.

Ochocze do pracy naukowej zastępy przekazał w spadku po sobie wiek XV-ty i nie można tu narzekać na brak ciągłości. Owszem, dałyby się przy bliższym badaniu wykryć formalne filiacje wybitniejszych w społeczeństwie umysłów, których przeprowadzenia podjąć się wdzięcznym zaiste byłoby zadaniem, a sięgałyby one mniej więcej do połowy XVII-tego wieku. Od tego czasu nie przerywa się jeszcze wprowadzie ciągłość naszego świata naukowego, ale uczonych tych jest coraz mniej i coraz mniej oryginalni. Poziom naukowy coraz bardziej upada, aż nareszcie od końca XVII-go wieku spadamy znacznie niżej poziomu europejskiego, a w połowie XVIII-tego wieku jesteśmy stanowczo najmniej oświeconym społeczeństwem w łonie ludów zachodnio-europejskiej kultury. Pierwszą widoczną przyczynę tego zjawiska mamy w zmniejszaniu się ilości uczonych na przełomie XVI-tego i XVII-tego wieku.

Czy przypisać to brakowi zdolności twórczej do nauk? Ależ nie istnieje żadna specjalna zdolność twórcza naukowa, bo zdolność twórcza jest zdolnością ogólną, która istnieje lub nie istnieje w ogóle, a którą można przenieść na to lub owo pole życia i działalności cywilizacyjnej. Że zdolność twórczą posiadaliśmy, tego dowodem społeczno-cywilizacyjna działalność nasza na wschodnich kresach, która właśnie na przełomie tych dwu wieków świeciła wielkie tryumfy; wszak wtenczas-to wytworzył się ten naród polski, taki, jaki istnieje do dziś dnia; wtenczas odbył się rozległy proces duchowy na obszarze Jagiellońskiego państwa, którego głównym fermentem było plemię polskie. Nie o twórczą zdolność tu pytać tych, którzy wytworzyli właśnie potężne mocarstwo na pobożowiskach od Witebska do Moskwy, tych którzy z unią brzeską na nowe tory mieli popchnąć dzieje wschodniej Europy, ale tylko zapytać się należy, dlaczego tak znaczne

zdolności twórcze coraz mniej zastosowywano w dziedzinie nauk? Frazesem jest, że nadmiar pracy politycznej społeczeństwa nie zostawiał mu sił do pracy teoretycznej. Frazes to niosący tylko czczą wymówkę i nic więcej, bo w życiu politycznym brał przecież czynny udział i tak ten tylko, kto do tego miał zdolności i środki, a choćby ta wymówka była nawet słuszną, toć tyczyćby się mogła jednej tylko warstwy narodu, to jest: szlachty. Ale gdzież mieszczaństwo nasze, które w polityce żadnego nie brało udziału? Jeżeli polityka nie sprzyja Muzom, w takim razie miały one w łonie polskiego mieszczaństwa w sam raz dla siebie zgotowane schronienie!! Jeżeli jednak ani politykująca, ani odsunięta od polityki warstwa nie zajmowała się naukami, w takim razie widocznie sprawa ta nie ma żadnego związku z polityką, ani z jej nadmiarem, ani z jej brakiem.

Stan mieszczański jest przyrodzonym piastunem nauk, nie dlatego, żeby miał mieć do tego więcej zdolności, lub więcej możliwości od szlachty, ale po prostu dlatego, że w pielegnowaniu ich ma swój osobisty interes. Kto miałby przeciw tak postawionej kwestyi coś do zarzucenia, niech przejrzy album któregośkolwiek uniwersytetu, a w szczególności Jagiellońskiego i niech porówna liczbę uczniów szlacheckich z ilością mieszczan, a dyskusya wszelka w jednej chwili się skończy. — Biedne dziecko mieszcucha z Wadowic, z Biecha, z Sanoka, z Głogowy, o gło-

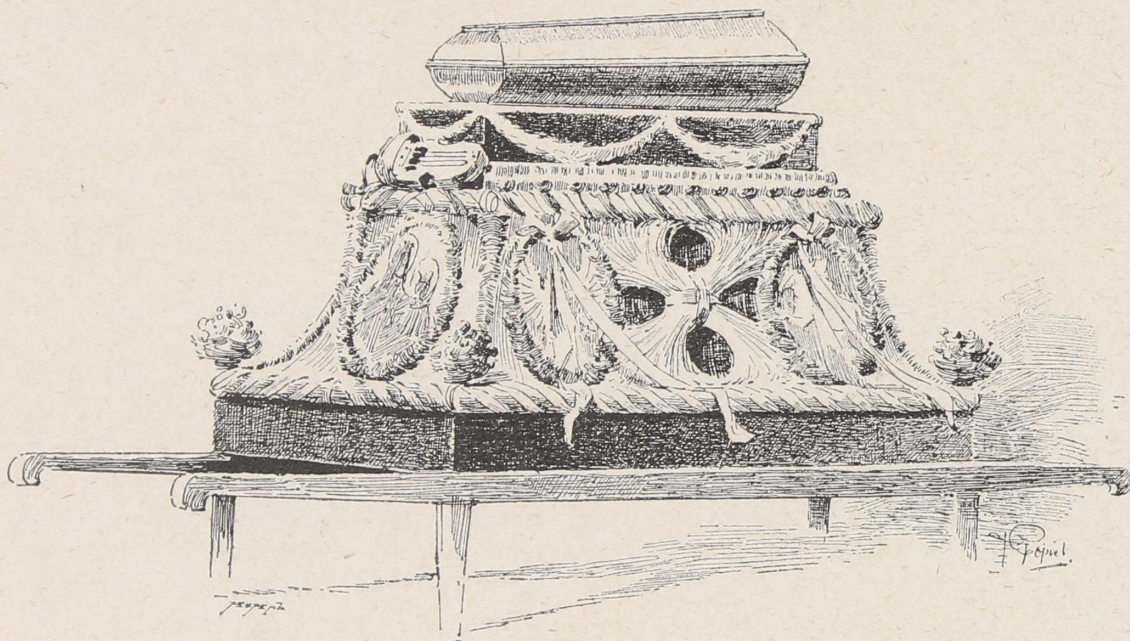
dzie i chłodzie, mając za cały majątek doprawdy-że tylko »świadectwo ubóstwa« i szlachetną ambicję, dobija się stanowiska dla siebie w ojczyźnie, a dla ojczyzny w europejskiem społeczeństwie ludów. Bieda, ciężka bieda byłaby ze stanem cywilizacyi i u nas i u każdego innego narodu, gdyby nie te żaki średniowieczne, które o żebranym chlebie kończyły studia, widząc w nich jedyną drogę do stanowiska stosownego dla swoich zdolności. Jeżeli tedy w jakimś kraju liczba uczonych się zmniejsza, w takim razie mogą tego być dwie przyczyny: albo nauka przestaje tam dawać stanowisko, albo też mieszczaństwo tego społeczeństwa... traci ambicję. U nas w Polsce było jedno i drugie, niestety! Co do pierwszego wiadomo, że ograniczono do minimalnej ilości liczbę stanowisk, do których wstęp dawała nauka bez względu na pochodzenie, wiadomo, że nawet kanonie przy katedrach zarezerwowano dla szlachty, a o urzędach publicznych poza miejskimi rogatkami nie można było nawet pomyśleć. Zapewne, było to złe, rzecz oczywista, lecz zastanówmy się z zimną krwią, czy prześladowanie mieszczaństwa przez szlachtę już całkiem rzecz tłómaczy?

Dlaczegoż mieszczaństwo dało się prześladować? Dlaczegoż nie widzimy nigdzie ani śladu opo-

zycy? Prześladowanie takie było i w innych krajach; było wszędzie a wszędzie, a jednak zagranicą stan ten odegrał i odgrywa tak potężną rolę. Doprawdy, w skalpelowaniu naukowem naszych dziejów przyjdzie czas pociągnąć nietylko szlachtę do odpowiedzialności za to, że mieszczaństwo z życia publicznego usunęła, ale może jeszcze bardziej to ostatnie, za to, że się usunąć dało, że było bez ambicyi, z krwią rybią, bez energii, że — po prostu powiedziawszy — nie szanowało samo siebie.

Spojrźmy na kwiat naszego mieszczaństwa, na kwiat polskiej inteligencyi. Oto pierwszy Łukasz Góra, mieszczanin oświęcimski, jakąż ma ambicję, jak ceni gniazdo, z którego wyszedł? Marzeniem jego jest zostać szlachcicem, a za jego przykładem pchanie się do szlachty staje się chroniczną chorobą polskich literatów i uczonych. Czy to było z korzyścią dla narodu, niech wskaże ciekawy przykład z życia tegoż Łukasza Góry. Jest to głowa polityczna, patrząca zdrowo na niejedną sprawę, jest nieprzyjacielem elekcji *vir-*

tim i woli żadnego nie mieć króla, niż, mając monarchę, skazywać go na to, żeby był malowanym. Nieprawdaż, mądre zdanie? — ale nasz Łukasz nigdy z niem publicznie nie wystąpił, a choć już napisał w tym przedmiocie broszurę, stchórzył z ogłoszeniem i gdy go przestrzeżono, że mogłaby czytelnikom krwi napsuć, schował ją na sam spód kuferka, bo... treść jej zaszkodziłaby mu u szlachty, do której się wcisnął



MARY, NA KTÓRYCH NIESIONE BYŁY ZWŁOKI TEOFILA LENARTOWICZA.

zwykłym wówczas sposobem »potwierdzenia szlachectwa«; nużby szlachta zaczęła dochodzić, czy było wówczas co »potwierdzać«, a Górnicki na nowo musiałby zostać Górą?!... Nie wypada się kompromitować i robić sobie nieprzyjaciół.

Szczególniejszego doznaje się wrażenia, porównując, jak się o stanie mieszczańskim wyrazili: Łukasz Góra, a Stanisław Okszyk Orzechowski. Mieszczech z Oświęcima »mając opisać dworzanina bez *ale*, ozdobionego i nadanego tem wszystkim, co ludzie chwalą, najdywał to być bardzo potrzebnem, uczynić go szlachcicem« podczas gdy współczesny mu reprezentant szlachty w literaturze pisał: »Nie jestem ja Kromerowi lub Hozyuszowi równy, bo ja ludźmi innymi, a oni sami sobą szlachectwa swego dowodzą i to nie herbem w Norymbergu rytym, ale rozumem oświeconym, też dzielnością swoją własną przed Bogiem i przed ludźmi ukazują«. »Nie więcej w herbie jest bez skutku zacności, jako list w wiesze albo w wieńcu ma zacności bez piwa albo bez wina«. »Rzeczpospolita mało, albo nic ogląda się na ród, albo na zacność czyją. Tego ona ma za godnego sobie, który jej dobrze czyni, mnożąc cześć i pożytek jej«. Doprawdy, czyż to nie ironia, że ustępy te wyglądają, jakby pomieszano ich autorów!

DR. FELIKS KONECZNY.

(Dokończenie nastąpi.)

LUDWIK STASIAK.



WIANKI.

UROCZE OCZY.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH.*)

(Ciąg dalszy).

SZAMBELAN (po chwili z oburzeniem),

Cóż u licha mnie boleć powinno, jeśli was głowa boli?! Ja przecie tracę dwakroć stotysięcy! (do Matyldy) Słyszałaś?!... Milczą, siedzą jak mruki, gazety czytają, a kiedy się do nich zwracam z rozsądną propozycją, to powiadają, że ich głowa boli i odchodzą. (Bierze gniewnie dziennik z ławki, na której siedział hrabia). Co on czytał tak zajmującego, że aż go głowa rozboleła?... Po zmięciu papieru łatwo odgadnąć: sprawozdanie z prelekcji na Osady Rolne. (czyta). »Osoby podlegające somnambulizmowi żyją dwojakim życiem, to jest w stanie normalnym i w stanie hipnotycznego uśpienia. Po przebudzeniu, jedne nie przypominają sobie nic z tego co się im śniło, inne przeciwnie z sennych widziadeł wysnuwają reguły postępowania...«

MATYLDA (przerywając).

To tak jak Terenia!

SZAMBELAN (czyta).

»Widzenia ich można nazwać halucynacjami sennymi, gdy zwykle halucynacje zwiemy snem na jawie.«

MATYLDA (która się zbliżyła).

Czy tak je zwiemy w istocie?

SZAMBELAN (wzrusza ramionami i czyta dalej).

»Odrębny charakter posiadają halucynacje senne i posenne. Zarówno w halucynacjach na jawie, jak w widzeniach sennych i posennych działanie ośrodków wewnętrznych miesza się z wrażeniami obwodowymi«. (mówi). Nic a nic nie rozumiem.

MATYLDA.

I ja też!

SZAMBELAN (wzrusza ramionami).

Zkądże u licha miałabyś rozumieć?!... To są przecie rzeczy naukowe! (Czyta dalej). »Blask rzucający się w oczy, szmer dolatujący do ucha, podrażnienie hipnotyczne wywołują obrazy niezgodne z rzeczywistością i wydobywają wyobrażenia, utajone w głębi ducha«.

MATYLDA (powtarza bezmyślnie, a jednak jakby rozważała).

Utajone w głębi ducha!

SZAMBELAN (czyta).

»Halucynacja jest procesem umysłowym, który się odbywa bez pobudek, dostarczanych przez wrażenia zmysłowe rzeczywiste«. (Mówi). Nie podobna wszystkiego czytać, boby się człowiekowi całkiem w głowie pomieszało. Przeskakujmy!... Aaa! widzę tu wyraz podkreślony, o którym pierwszy raz słyszę: telepatya. (Czyta). »Telepatją nazywamy przenoszenie uczuć, myśli i wyobrażeń z jednego ośrodka mózgowego do innego, na odległość«.

MATYLDA (zadumana, przykładając palec do czoła).

Ośrodka mózgowego!

SZAMBELAN.

Czego szukasz?

MATYLDA.

Ośrodka.

SZAMBELAN (wzrusza ramionami).

Nie szukaj... nie znajdziesz! (Czyta). »Ktoś na przykład umiera, albo postanawia życie sobie odebrać, obraz zaś jego lub okoliczności, towarzyszące przygotowaniom do samobójstwa, występują w formie halucynacji u osoby oddalonej, dajmy na to u syna, córki, brata, kochanki...«

MATYLDA.

I żony.

SZAMBELAN.

O żonie nie ma tu mowy.

MATYLDA.

Dlaczego?

SZAMBELAN (nerwowo).

Albo ja wiem! Dajże pokój — nie przerywaj! (Czyta, sens kończąc). »Jest to halucynacja telepatyczna«.

MATYLDA (jakby wszystko nagle zrozumiała).

Telepatyczna!

SZAMBELAN.

Zrozumiałaś?

MATYLDA.

Ani trochę.

SZAMBELAN (ironicznie, wzruszając ramionami).

Myślałem, żeś zrozumiała! (Czyta). »Teoria telepatii jest konglomeratem kilku hipotez«. (Mówi). Nie mam cierpliwości czytać dalej... (Po chwili). A jednak ta zadrukowana bibuła hipnotyzuje także, przyciąga. Oczu od niej oderwać nie mogę. (Czyta). »Doświadczenia z osobami znajdującymi się w śnie hipnotycznym stwierdzają fakt przesyłania myśli lub wyobrażeń na odległość«. (Mówi). Coś tak niby telegraf!

MATYLDA.

Czy myślisz, że ja sobie zdaję sprawę z telegrafu?!

SZAMBELAN.

Nie myślę, broń Boże!

MATYLDA (nadaśana).

O! bo ty mnie już masz za taką głupią!

SZAMBELAN.

Ależ nie; cieszę się, że nie chcesz być... Ba! ba! jeszcze czego! Piękniebym wyglądał, gdyby moja Madzia, moja pocziwa Madzia poświęciła się badaniu telegrafu i elektryczności. Ależ wtedy jabym umarł ze strachu!

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

MATYLDA (nawnie wzruszona, przykładu mu dłoń do ust).

Cicho! nie żartuj tak szkaradnie. Na samą myśl o twojej śmierci zimny dreszcz mnie przejmuję. Och! obawiam się... lękam... o ciebie... ciebie jedynie... nikt inny mnie nie obchodzi.

SZAMBELAN.

Ooo! tylko się nie rozczulaj. (Wzrusza ramionami i czyta). »Do tego procesu potrzeba koniecznie sympaty. Osoby obce lub obojętne dla siebie porozumiewać się przecuciem nie mogą« (Mówi). A! tego to już zanadto! Jakże ludzie nie mają waryować, kiedy najpoczytniejsze organa naszej prasy takie szaleństwa drukują. (Idzie do stołu, przy którym siedział książę). Pewny jestem, że i ex-powstaniec zabawiał się podobną lekturą. (Bierze do rąk gazetę). Patrz!... a co?... czy nie mówiłem! (Czyta). »Z dziedziny hipnotyzmu« (Mówi). Z czegożby innego?... Dziś w gazetach piszą tylko o hipnotyzmie, spirytyzmie, okultyzmie, symbolizmie, a do tej ślicznej kompanii przybyła jeszcze obecnie jakaś — telepatya. Bodaj was! (Czyta). »Nie wszyscy ludzie, twierdzi słynny M. J. Leveillé, są jednako skłonni do poddawania się sugestji hipnotycznej. Niektóre media, silne cnotą i zasadami, mogą opierać się woli hipnotyzera. Najsurowszy nacisk z jego strony, najumiejętniejsze podsuwanie zamysłów i planów, nie zmusi człowieka szczerze uczciwego do popełnienia zbrodni, ani osoby, posiadającej głębokie uczucia i przekonania do zaparcia się ich na rzecz narzucanych, sprzecznych z jej sympatyami i pojęciami«.... (Mówi). No! teraz rozumiem. To twierdzenie zmartwić go musiało... i dlatego dostał migreny.

MATYLDA.

Więc cóż?

SZAMBELAN (nerwowo).

A cóż? widzę, że dwakroć stotysięcy fiut! — ulotniły się, moja droga! Trzeba będzie pałac kończyć za własne pieniądze. Z rewolucją walczyć nie sposób, a czuję, że to jakaś rewolucyjna sprawa. O! mam ja węch nielada i nie telepatyczne przecucie na odległość. Znam się na takich niby Zefirkach, co to nagle zmieniają się w Akwilony i Boreasze, wywracające cały porządek społeczny. Już na wystawie powszechnej w Paryżu, przed wojną francusko-niemiecką skonstatowałem, że tron Napoleona III się chwieje, a hrabinie de Los Montes Alico di Segrados, damie dworu królowej Izabelli, przepowiedziałem komunę. — Dobrze, że nie przypiąłem dziś orderów. (Spogląda na klapy od surduta). Nawet wstążeczki odpruję... Chodź! pójdziemy je odpruć. (Spostrzega Ludwika zstępującego z ganku po schodach). A! Pan Ludwik. Cóż tam słysząc? jakże się ma Terenia?

SCENA 2.

Ciż sami. — LUDWIK.

LUDWIK (głosem poważnym i wzruszonym).

Śpi... śpi spokojnie.

SZAMBELAN (roztargniony).

Bardzo się cieszę.

LUDWIK (j. w.).

Hrabina prosiła mnie, abym się oddalił, abym nie był przy przebudzeniu, którego panna Petronella spodziewa się za chwilę. Czuwają obie nad uspio-

ną — a z niemi pani kasztelanowa i mój wuj. (Z radością). Nie ma najmniejszej obawy...

SZAMBELAN (przerwa, zasłaniając wstążeczki orderowe).

Tem lepiej, tem lepiej. Ja z Madzią idziemy przygotować się do podróży. Dziś jeszcze wyjeżdżamy na Podole.

MATYLDA (klasząc w ręce).

Dziś!... ach! jak to dobrze!

SZAMBELAN (nerwowo).

Czy dobrze — nie wiem; ale tak trzeba, tak trzeba. Nie chcemy nikomu w drogę wchodzić, nie pragniemy niczych planów krzyżować. Telepatya i hipnotyzm nie zajmujemy się wcale. Nadprzyrodzonych tajemnic badać nie myślimy, choćbyśmy w nich nawet dostrzedz mieli — polityczne plany. A nam co po tem! W zasadzie, a również i w praktyce — z każdym tryumfującym systemem czy programem zgodzić się umiemy. (Do Matyldy). Mam lekki zawrót głowy. Chodźmy! (Zwraca się do Ludwika). Obejdziemy dwór w około, żeby nikomu nie przeszkadzać, żeby nikogo nie budzić. Jesteśmy delikatni i wyrozumiali. Wszakże drzwi do gościnnych pokoi, w których nas ulokowano, położone są z przeciwnej strony domu, wprost wielkiego orzecha, pod którym siedzieliśmy rano?

MATYLDA.

Ale tak, tak — ja cię zaprowadzę. Przecież tu się urodziłam i wychowałam.

SZAMBELAN (j. w.).

Tem lepiej, tem lepiej. (Wskazuje na czoło). Mam lekki zawrót głowy... coś niby migrenę. (Zwracając się znowu do Ludwika). O konie do stacyi prosić będziemy...

LUDWIK (zdziwiony).

Mnie?

SZAMBELAN.

Zastępujesz we wszystkim panią domu — babkę mojej żony — naszą szanowną i kochaną babcię.

LUDWIK.

Pewny jestem, że pani kasztelanowa na tak nagły wyjazd państwa nie zezwoli.

MATYLDA (błagalnie, składając ręce).

Panie Ludwiku!

LUDWIK.

Daruję pani, ale bez rozkazu jej babki, w tym względzie nic uczynić nie mogę. Znam gościnność kasztelanowej... (Rozmawia dalej z Matyldą po cichu).

SZAMBELAN (na str.).

Masz tobie! jest i staropolska gościnność! Teraz na złość zatrzymać gotowi, właśnie kiedy straciłem humor — mam migrenę — i pragnę wyrwać się ztąd jak najspieszniej, bo czuję, że słusznie mi należnych pieniędzy nie dadzą i gotowi jeszcze wywołać nową awanturę polityczną. I temu chmurnemu, zwykle milczącemu paniczowi patrzy z oczu rewolucyjka, a może i cała rewolucja! (Głośno). Ha! Madziu, jeśli pan nie chce uczynić zadość twojej uprzejmej prośbie, to chodźmy do siebie. Dłuższe naleganie z naszej strony byłoby niewłaściwym i niedyskretnym. Tam, w izdebkach dla

nas przeznaczonych, oczekiwać będziemy cierpliwie na rozkazy twojej przeznacnej babci. (Kłania się, bierze Matyldę pod ramię i pełen udawanego spokoju i sztucznej powagi wychodzi głębią, na prawo, okrążając narożnik dworu).

SCENA 3.

LUDWIK (sam).

Rzecz dziwna! Ci ludzie zwykle tacy swobodni, weseli, zadowoleni z siebie, nie sięgający myślą po za granice potrzeb materialnych i przyjemności zmysłowych, wydają mi się obecnie przejęci wielką, chociaż ukrywaną trwogą. Czytałem na ich twarzach obawę, podobną do tej, jaką wyradza przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Przecież nie lękają się o Terenię! — zbyt samolubne mają na to serca. A jednak zmienieni są, rozdrażnieni, zaniepokojeni. (Chw. mil). W takim usposobieniu i ja byłem dziś rano. (Marzy). Teraz nie, nie, nie. Przeciwnie błogi spokój napęłnia moją duszę, bo wiem, że sen — w którym pogrążona — krzepi ją i uszczęśliwia. A szczęście, przez nią doznawane, płynie tu do mnie, po burzy, na fali ciepłego powiewu. — Tak lekko oddychać! błękit nieba taki przejrzysty. W złotych promieniach jaśniejszego niż codziennego słońca, stary nasz ogród wydaje mi się piękniejszy, weselszy... o! bo ona mnie kocha, kocha! Ileż rozkoszy w tym wyrazie!

SCENA 4.

LUDWIK. — PETRONELLA.

PETRONELLA (ukazuje się na ganku).

Panie Ludwiku! panie Ludwiku!

LUDWIK (drgnął).

Słucham!

PETRONELLA (zchodzi).

Jak to dobrze, że pana tu zastaję. Terenia się przebudziła.

LUDWIK.

Zdrowa?... nie cierpi?

PETRONELLA.

Przecieżbym tu nie przyszła, gdyby była cierpiąca. Ot po prostu kasztelanowa kazała mi pokój opuścić pod pozorem, że trzeba posłać Grzesia po doktora, konno, do miasteczka...

LUDWIK (żywo).

Sam pojedę. (Wskazując na prawo). Widzę Józefa na końcu szpaleru. (Podbiega do prawych kulis i woła). Hej! Józefie! Józefie! niech Grześ mi konia okulbaczy, przyjdę zaraz do stajni...

PETRONELLA (zatrzymując go).

Ależ nie potrzeba — mówię, że nie potrzeba!

LUDWIK.

Jakto?

PETRONELLA.

Wiem o co idzie. Odbędzie się teraz spowiedź generalna mojej sarenki, a kasztelanowa nie chce, abym jej wysłuchała. Wyprawiła mnie zatem pod byle pretekstem. Boże! ja nie ciekawa, a Terenia nie ma sekretów. Kocha pana... to i kocha, ale nic więcej.

LUDWIK (z radością ściskając jej rękę).

O! panno Petronello!

PETRONELLA.

Posłuchaj! Ledwie oczy rozwarła, rzuciła się zapłakanej babce na szyję, zaczęła ją pieścić, całować, przymilać się, jak aniołek jaki... i tem ją rozbroiła. Spostrzegłam, że staruszka się rozchmurza, że przede wszystkim raduje się nagłym uzdrowieniem wnuczki, a o gniewie i żalu zapomina...

LUDWIK.

Więc nie znużona... nie senna... w istocie nie chora?

PETRONELLA.

Nie, nie — przeciwnie. Nigdy piękniej nie wyglądała; wesół, szczęśliwa, swobodna, a na białych policzkach, jakby kto karminem delikatne rumieńce pomalował — aż miło patrzeć! Napieściwszy się z panią kasztelanową, uściśkała mnie serdecznie, gorąco — (z naciskiem) przy wszystkich — i zapewniła, że już z przeczuciami i snami proroczymi pożegnała się na zawsze...

LUDWIK (z lekkim odcieniem żalu).

Pożegnała się na zawsze!

PETRONELLA.

A ja, chociaż nieraz jej piosnkę — Boże przebac — śpiewałam, ucieszyłam się tem bardzo, bo po okropnych przejściach dzisiejszych widzi mi się, że lunatyzm — czy jak go tam zowiecie — to niby okno otwarte na rozległe widoki, ale w noc ponurą i ciemną...

LUDWIK (zamyślony).

Bardzo ciemną...

PETRONELLA.

Widać przez nie wprowadzie świat zaziemski, ale co w nim mgłą, a co rzeczywistością nikt chyba nie odgadnie...

LUDWIK (j. w. z westchnieniem).

Przechucia... tylko przechucia!...

PETRONELLA.

Tak — a czasem złudzenia... mary... widziadła..

LUDWIK (z odcieniem radości w głosie).

Przechucie jednak mówiło mi, że dziś nic złego stać się jej nie może.

PETRONELLA.

Tym razem, dzięki Bogu, nie omyliło. Ale co dalej?

LUDWIK.

Jakto, co dalej?

PETRONELLA.

No, a to projektowane małżeństwo z księciem?

LUDWIK (zakrywa oczy dłonią).

Pojadę po doktora.

PETRONELLA.

Ha! jedź kiedy chcesz koniecznie. Wolisz nie myśleć o grożącym niebezpieczeństwie. Pewno serce

STANISŁAW JANOWSKI.



WSPOMNIENIA Z POGRZEBU T. LENARTOWICZA.

ADAM ASNYK, WYGLĄSZAJĄCY MOWĘ.

bije mocno, a głowa w płomieniach. Przejazdźka konna może ją ochłodzi. O! znam ja stan taki, znam — z doświadczenia.

LUDWIK.

Wróćę za kwadrans...

PETRONELLA.

E! kasztelanowa nie miałaaby już Boga w sercu, gdyby was rozłączyć chciała!

LUDWIK (do końca sceny mocno roztargniony).

Nie wiem... nic nie wiem... jadę... i wnet powracam.

PETRONELLA (powtarzając za nim z przekąsem).

Nic nie wiem, nic nie wiem... Wy wszyscy tacy! Niech sobie biedna dziewczyna głowę łamie, niech jej serce z bólu pęknie, a ja w najkrytyczniejszej chwili pojedę konno, użyć świeżego powietrza... Oj! egoiści, egoiści!

LUDWIK.

Ależ...

PETRONELLA.

Szczęściem, że ma ona woli i siły duszy za dwoje. Zaraz po przebudzeniu szukało sobie biedactwo sprzymierzeńców. Po babce i po mnie, wyciągała Karolę, która, o ile mi się zdaje, za księciem nie przepada. Nie zapomniała nawet o rejencie... uściśnęła mu dłoń...

LUDWIK.

Uściśnęła dłoń mego wuja?

PETRONELLA.

Musiał on tam za panem przemawiać, bo w ciągu całego snu Tereni spowiadał się kasztelanowej do ucha... po cichu... długo...

LUDWIK.

A ona... a ona?

PETRONELLA.

Słuchała go poważna, surowa, zamyślona.

LUDWIK.

Nie odpowiadała?

PETRONELLA.

Milczała, jak statua. O! bo nikt, prócz może jednej mojej sarenki, uporu jej przełamać nie zdoła. — Jak myślisz? kto postawi na swoim: kasztelanowa, czy Terenia?

LUDWIK.

Nie wiem... nie wiem...

PETRONELLA.

Aaa! to już pan jedź z Bogiem, bo doprawdy słuchać nie miło! (Ludwik wybiega na prawo. — Petronella za nim patrzy, kręcąc głową). Waryat!... istny waryat! Ach! ci zakochani! (Zwraca się ku stołom i ławkom i zaczyna zbierać gazety).

SCENA 5.

PETRONELLA. — Po chwili z dworu wychodzi KASZTELANOWA, prowadzona przez KAROLINĘ i TERENIĘ. — Za nimi postępuje REJENT.

KASZTELANOWA (idąc ku lipie).

Panno Petronello! chciej poprosić tu księcia, a sama udaj się do jadalnego pokoju i przeczytaj

(Dokończenie nastąpi).

uważnie dzienniki. Powiesz mi co donoszą — ale nie zaraz; później — dopiero jak cię wezwę.

PETRONELLA.

Dobrze, pani kasztelanowo; zbierałam je w tym celu. (Ogląda się). Tylko, gdzie książkę być może? A! widzę go... widzę... (Wybiega na lewo. — Karolina i Terenia przyprowadziły babkę do ławki pod lipą. — Kasztelanowa obu dziękuje uściśnieniem ręki, a Terenię całuje w czoło).

KASZTELANOWA (z westchnieniem).

O! co ja przez ciebie wycierpiałam!

TERENIA.

Babuniu moja najdroższa! (Całuje jej ręce).

KASZTELANOWA.

Już nic... nic... nic. (Pociąga do siebie Karolinę i całuje ją w czoło). Byłaś dla mnie dobrą w okropnej chwili. Dziękuję ci. (Karolina z łkaniem, nad którym zapanować pragnie, tuli się do babki). Uspokój się, uspokój... widzisz, żeśmy wszyscy smutni.

TERENIA.

Och! babciu, jedno twoje słowo radość przywrócić może.

KASZTELANOWA.

Na słowo to — nie czas jeszcze.

REJENT (stojący nieco dalej, wyciąga ku niej dłoń).

Pani kasztelanowo!

KASZTELANOWA.

Jeszcze nie czas. (Siada. — Ręką wskazuje wnuczkom, aby się usunęły na bok, a skinieniem przywołuje rejenta. — Karolina i Terenia podały sobie dłonie i odchodzą na prawo). Jeszcze nie czas!... Duchem modłę się, Boga proszę o radę, bo nie wiem, co czynić... nie wiem.

REJENT.

Czy moje wyznanie nie przekonało cię pani?

KASZTELANOWA.

Nie.

REJENT.

A sen panny Teresy, który je potwierdził?

KASZTELANOWA.

Sen mara...

REJENT.

Nie wierzysz?

KASZTELANOWA.

Nie.

REJENT.

Cóż uczynić... co uczynić, abyś uwierzyła?

KASZTELANOWA.

Czekać.

REJENT.

O!

KASZTELANOWA.

Znasz mnie... Chociaż złamałście mnie udęczeniem, twardą mam duszę, w smutku i cierpieniach zahartowaną. Ja jedną kocham, o nią się lękam. Nie chcę, aby to biedne dziecko miało los do mego podobny — nie chcę, nie chcę, nie chcę. Nie o zemstę mi już idzie, ani o sprawiedliwość, lecz o jej szczęście tylko.

ZYGMUNT SARNECKI.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Spotkanie to, z takim przez kochanków wyczekiwane upragnieniem, nastąpiło w połowie lipca, w Ischl ¹⁾.

Promieniejący z radości, ile, że zastał Joannę »dwa razy tyle kochającą« go, co dawniej, autor Irydiona — już będącego na ukończeniu — przekonany, że »w życiu swem zapewne już takich dni szczęśliwych nie dozna więcej«, podlegał chwilami czarującemu złudzeniu, że się dostał do... nieba. Pod tem wrażeniem, dzieląc się z przyjacielem — wtajemniczonym we wszystko — wiadomościami o nieziemskim szczęściu, którego atmosferą oddycha, pisał żartobliwie, że pewno miło mu będzie wiedzieć, że »ten, który cię kocha, z raju do ciebie pisze«.

Kreśląc słowa powyższe, nie przewidywał — nie chcąc przypuszczeniami tego rodzaju mącić sobie uczucia błogości — że maluczko, a raj ten niebieski »pryśnie odrazu«, ba, zamieni się w piekło!

Trzeba wypadku, że »jakiś list« pani Joanny do Krasińskiego, list, w którym — jak to w liście kobiety zakochanej — nie obeszło się bez czułych o miłości napomknień, dostał się przez pomyłkę nie do rąk Zygmunta, ale jakiegoś niegodnego, a przedewszystkiem wielce niedyskretnego awanturnika, także nazwiskiem Krasińskiego, który, otworzywszy kopertę i przeczytawszy zawarte w niej pismo, widząc, uradowany, jakiej jest treści, postanowił skorzystać z okazji i nie długo się namyślając, zaczął list pani Joanny, jako niby do siebie pisany, wszystkim pokazywać znajomym i przyjaciołom.

Wiadomość o tym interesującym *billet d'amour*, obiegając z ust do ust po całym Ischl, doszła w końcu i do uszu jego autorki.

»Zastąpiłem ją w najokropniejszym stanie...«

Oto powód, który sprawił, że raj Zygmunta, na podobieństwo bańki mydlanej, prysł odrazu.

W niemałym także stopniu przyczyniły się do tego plotki, rozpuszczane przez kobiety, które, widząc Krasińskiego, asystującego pani Bobrowej, ciągle z nią razem, poczęły *pour passer le temps*, z nudów, w braku innego tematu do rozmowy, »szarpać jej sławę«. »Nie ma potwarzy, szyderstwa, złości — powiada Krasiński — któraby nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G... zlepią z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłymi wdziękami, wściekła, że kto inny piękny i kochany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca«. Wobec takich »przyjaciółek«, z którymi, pomimo pogardy, jaką dla nich żywił w głębi serca, musiał dyplomatyzować, nic dziwnego, jeżeli się Krasińskiemu pobyt w Ischl zaczynał coraz bardziej przykrzyć i jeżeli — z wyjątkiem kilku pierwszych — dni tam spędzone były mu piekłem ²⁾.

¹⁾ Przez czerwiec i pierwszą połowę lipca bawił Krasiński w Kissingen. Pani Bobrowa, jeżeli nie w Dreźnie (co najprawdopodobniejsze) to we Frankfurcie nad Menem, gdzie najczęściej zwykła była spędzać wiosnę. W każdym razie do Ischl przyjechała z dziećmi, z guwernantką (niezawodnie Francuską) i z panią Grocholską, swoją siostrą cioteczną, z którą często podróżowała razem. Obecność tej ostatniej, tego roku w Ischl, i jej rola anioła-stróża przy boku pani Bobrowej, doprowadzały Krasińskiego, jak to zobaczymy za chwilę, do rozpacz i... wściekłości.

²⁾ Oto wrażenie, jakie w r. 1830 zrobiła pani Grocholska na

Dopiero wieczorem, kiedy wszyscy posnęli, odpoczywał, przesiadując z nią w jej buduarze, w tym salonie »na wieki pamiętnym«, w którym, jak owi kochankowie Słowackiego, niczem nie strwożeni, sami, odcięci od świata, »wśród krzewów hortensyi, przy pół-świecie lamp, przy blasku jej łzawych oczu« gawędzili często aż do świtu.

— Tam jej cała dusza tyle szlachetna i dobra na łzy roztopiała się przedemną; tam ją, umęczoną za to, że kocha, pokochałem jeszcze więcej, niż wprzód.

Rozumiał przecież, że ze względów na ukochaną nie godzi mu się tu pozostawać dłużej, że wystawia przez to na szwank jej dobre imię, że stosunek ten zwraca na nich oczy ludzkie i że, chcąc koniec temu położyć, trzeba się rozstać. Czuł »święty obowiązek, srogą konieczność wyjechania«.

Joanna, kiedy jej to oświadczył, w żaden sposób na rozdział, choćby niedługi, zgodzić się nie chciała. »Zaklinała by zostać, bo kochała nadewszystko«.

— Co mi tam ludzi sąd! Ja kocham ciebie!

Lecz stało się: »przeklinając świat i podłych i nędznych, którzy mszczą się na tych, co czują, za to, że sami nie czują nic, którzy będą lizać stopy pierwszej metresy pierwszego króla, a rzucają potępienie na duszę najszlachetniejszą«, pożegnał się z ukochaną, i zostawiwszy ją »w rozpacz«, opuścił Ischl, udając się... Dokąd? Do Tryestu. Przy rozstaniu umówili się, że i ona tam zawita niebawem.

Co za szczęście, że nie wyjechali razem! Już bowiem w Salzburgu sądzone było poecie stać się ofiarą fatalnej omyłki, gorszej nierównie, aniżeli ów wypadek z listem. Wzięty za kogo innego, za jakiegoś anarchistę, którego policja austriacka poszukiwała właśnie, został przytrzymany, wleczony z urzędu do urzędu... Wszystko to byłoby drobnostką, fraszką nic nie znaczącą, gdyby mu na komorze przy tej sposobności nie skonfiskowano wszelkich, jakie wiozł z sobą papierów, a między którymi znajdowała się cała paczka listów od pani Bobrowej. Ostatecznie sprawa się wyjaśniła: ujrano, że zaszło jakieś *qui pro quo*. O zwrocie papierów swoją drogą nie było mowy.

Odyńcu. (Zob. »Listy z podr.« t. III, str. 110). »A poznaliśmy tam (na raucie u Potockich) także jeszcze jedną Polkę, któraby może we wrażeniach moich zajęła miejsce blisko księżny Izy, gdyby sama samochcąc nie zepsuła uroku, który jej uroda sprawiała. Jest to pani Gr(o)cholska z Podola, P(oniato)wska z domu, piękna istotnie z twarzy i z postaci, ale strojna aż do przesady, a i jej pierwsze odezwanie się, niestety, przypomniało mi bajkę o pawiu. Nie, żeby głos był niemiły, gdzie tam! Głosik jest godny koralowych ustek; ale to też tem większa szkoda, że z nim chętką do rozmowy nie bierze. Bo gdy mąż jej, poznawszy się z nami, przedstawiał jej najprzód Adama, ona przybierając widocznie pozę »wielkiej damy«, i zapewne chcąc ująć przed nim za taką, przemówiła do niego najprzód... po francusku. Nie umiem Ci powiedzieć, jak na te proste słów kilka, termometr pierwszego wrażenia spadł raptownie do zera. To też Adam nie odpowiedział jej ani słowa na powitalny komplement, a i ja, zaprezentowany z kolei, poprzestałem na zimnym ukłonie. Zawód, jak sądzę, był z obu stron równy. Ma prawo nas posądzać o brak grzeczności, albo... francuszczyzny, jeżeli braku taktu nie poczuje w sobie. Ale ciekawy byłbym miny jakiego francuskiego poety, dajmy np. Lamartina, gdyby mu jaka Paryżanka, na cześć jego medytacji, wypaliła komplement po holendersku i chciała się przed nim popisać, albo zaimponować mu przez to, że przemawia obcym językiem...«

Jedną tylko »Nieboską komedye«¹⁾, którą był zawczasu schował w buty, zdołał uchronić przed ostracyzmem cerberów.

Stanawszy w Tryeście²⁾ był »jak potępiony«. Zdawało mu się, że »zstał do piekła«. Nie mówiąc już o szalonej tęsknocie za pozostałą w Ischl kochanką, dokuczał mu straszny, nie do zniesienia upał. Chodząc »po spiekłym bruku tego miasta«, chciałby się, powiada, położyć i skonać na nim, tak mu dolegała »każda chwila bez niej«.

Przyjechała wreszcie. Ale, zamiast go uspokoić, sama wystraszona, roznerwowana w najwyższym stopniu, uciekająca jak łania przed temi »psami zjadłymi«, żądała koniecznie »by niby zwieść tych, co ją przesładują«, ażeby nie zostawał z nią długo w Tryeście, lecz żeby jechał do Wenecyi, gdzie może jej spodziewać się wkrótce.

— Ach! jakże ona nieszczęśliwa! Ale nie przemnie! Świat! Świat! *Cette idole couverte de clinquant et remplie de boue*, ją rozszarpał i zabił!

I jak tu nie postąpić stosownie do jej życzenia? Jak nie uczynić zadość jej naleganiom, jej prośbom »rozpacznym« i nie wsiąść po kilku dniach »piekielnym, stroskanych« na statek odpływający do Wenecyi?

Zrobił to dla niej... »Ona myśli, że im się opędzi tym psom zjadłym«. Bądźcobądź, jeżeli teraz, w tym czasie »nie straci zmysłów, to cud boski«.

W Wenecyi, gdzie kilkanaście miesięcy temu przez tydzień cały prawdziwie był szczęśliwy, dziś, w oczekiwaniu na przyjazd tej, której wówczas szczęście swoje zawdzięczał, »przez takie przechodził kryzys, które kończą się zwykle szaleństwem lub śmiercią«. »Słaby jestem bardzo — donosił Sołtanowi³⁾, starając się pisaniem listów chwilowo chociażby oderwać od chwili bieżącej i tem samem osłabić nieco wpływ zabójczy — mam gorączkę okropną; źle mi się dzieje. Świat, który od kolebki mnie napastował i krzywdził, nie wiem, za co, i dzisiaj wlaź mi pod moje ołtarze i tam mnie przedrzeźnia i psuje mi szczęście... Jam mu nie hołdował, on się mści«.

»Ja w Wenecyi, ona w Tryeście«. W podobnej znalazłszy się sytuacji, do tego stopnia zwątpił o wszystkim, że mu szatan niejednokrotnie, jako jedyny sposób wydostania się z tego zaczarowanego koła, podsuwał myśl samobójstwa. *Terrible tentation! Tentation des tentations!* Bo co mu z życia, z bytu, z ludzi, od których same tylko słyszał wciąż obelgi i przekleństwa! Co im zawinił, że ukochanej jego »przecinają na ustach słowo kocham słowem hańba! I wszędzie, wszędzie ta hańba! Podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie potępi bliźniego, ten czeka sądu Boga«. A Bóg im przebaczy, nawet »jeżeli były jakie błędy«, trudno bowiem »tyle walczyć, co ona, a tyle kochać, szanować i czuć«, co on.

¹⁾ Musiał to być albo zapasowy rękopis, albo też pierwsze (frankfurckie) wydanie poematu z r. 1835. Drugie wydanie, również jak pierwsze »poświęcone Maryi«, wyszło dopiero w r. 1837 z ciekawym na odwrotnej stronie okładki dopiskiem: »Na cel wystawienia pomnika Maurycemu Mochnackiemu«. Na czele poematu, jako *motto*, figuruje następujące zdanie Beaumarchais'go, zdanie, opuszczone we wszystkich wydaniach następnych: *De toutes les bouffonneries la plus sérieuse est le mariage. Figaro.*

²⁾ W początkach sierpnia, list bowiem z tamtąd do Adama Sołtana (podany przez St. Tarnowskiego *op. cit.*) nosi datę dnia 12 sierpnia 1835 r.

³⁾ List XV. z Wenecyi, bez daty (u St. Tarnowskiego *op. cit.* w *Przegl. polskim*. Str. 82).

Zwątpiwszy o wszystkim, rozgoryczony, dręczony przenajrozmaitszemi obawami, nie uspokoił się prędzej, aż dopiero, kiedy zobaczył znów »swoją biedną, swoją kochaną«, na widok której, »nie już z miłości, ale z admiracyi chciało mu się upaść jej do nóg« i całować te stopy, te usta »jak dwie zorze«, te oczy szafirowe, te rzęsy czarne, te włosy złotolśniące.

Całować, całować, całować! A potem? potem »porwać ją i unieść gdzie daleko«, gdzieś, gdzieby jej nie przecinano na ustach słowa kocham słowem hańba, gdzieby im nie groziło złośliwe ujadanie »tych psów zjadłych«, gdzieby się czuli swobodni, szczęśliwi, jak w raju, i gdzieby im dni schodziły na miłości jedynie i pocałunkach... I kto wie, czyby tego szalonego zamiaru nie urzeczywistnił, czyby nie uciekli gdzie, na kraj świata, gdyby nie dzieci, które miała przy sobie, a których »odbierać« ojcu nie chciała.

Względ ten jednakże, o ile uniemożliwiał ucieczkę, o tyle nie był dość silny, ażeby stłumić szalone pokusy⁴⁾, jakie się nagle zbudziły w piersiach zapominającego już o wszelkich skrupułach poety, pokusy, które owładnąwszy nim zupełnie i uczyniwszy go głuchym na wszelkie protesty sumienia, doprowadziły w końcu »do czynu złego, oplakanego«, i choć przyznawał, że »było okrucieństwem walczyć z takim wyrazem jej twarzy, z takim przekonaniem jej rozsądku«, sprawiły, że, ślepy na wszystko, opętany, szalony, a zwłaszcza nie zdający sobie sprawy, co czyni, »przez niesłychane walki« dowiódł ją wreszcie »do nieszczęścia« i zepchnął w przepaść miłości złej, występnej!

Miesiąc blisko zabawili w Wenecyi. »Ile wycierpiałem« przez ten czas — czytamy w liście do S. — »nie masz wyobrażenia; ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto wiedzieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej, niż sił przysparza«. Najmilszem zaś, co mu pozostało ze wszystkiego, to przeświadczenie, że »szlachetniejszej kobiety nie ma na ziemi« i że takiego serca daremnoby już szukał w życiu. — Szkoda tylko, że »uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obowiązek uważa odwieść dzieci mężowi i cierpieć. W tem rodzaj ekspiacy widzi«. »Nie chce pamiętać — ubolewał poeta — że jej sił na ekspiacyę podobną zabraknie i że może umrzeć. I *Trenta Tre* się sprawdzą. Już teraz po kilka razy na dzień mdlała, blada jak trup, lub rozgorączkowana, jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka!... Ludzie to zowią błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż, jeśli ten błąd już w samym sobie swoje piekło zawiera, jeśli kwiat, już przez to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć i umierać musi. Biedny to świat, biedne towarzystwo, w którym jedyne szczęście przewali zbrodnią! Biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać musi!«

— Ach, miałem chwile nieskończonej goryczy! wszystko, co piękne i kochane, łamało się przedemną, jak lód, co w kry się rozsypuje. Widziałem spokojne czoła, co tak pękały z rozpacz. Miałem dni, w których samo szczęście, samo uniesienie stawało się iro-

⁴⁾ »Co się tyczy listu z Gratz, to ja się pomyliłem, bo pisałem Ci go między Gratzem a Wiedniem, a oddałem na pocztę w Wiedniu; ale że mi się to wszystko bardzo mięszało w głowie, tom Ci napisał à Gratz. Był to ten list, w którym Ci wspominałem o pokusach, które czułem w Wenecyi, i które doprowadziły mnie do czynu złego, oplakanego!« (Listy do Jaroszyńskiego, str. 12).

nią; w których pomyśleć o uśmiechu, choćby smętnym, tklwym, było niesposób; w których łyzy nawet byłyby szyderstwem, dzieciństwem, oznaką marną bólu; bo żeby go wydać, wyrazić, chyba trzeba było skonać. Ale przeszło, przeszło!

LUDWIK STASIAK.



WSPOMNIENIE Z POGRZEBU T. LENARTOWICZA.

Orszak. — Rady powiatowe.

Pierwszych dni października, już na wyjeździe z Wenecji, a już po wyjeździe z tamtąd pani Joanny, która pojechała naprzód, ażeby wcześniej od niego stanąć w Wiedniu, gdzie mieli się spotkać raz jeszcze przed »ostatecznym, strasznym rozdziałem«, pisał Krasiński do przyjaciela: »Addio! Za kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa bytu: *Rozum*, jak mówią ludzie, *Rozsądek*! co u niektórych znaczy *podłość*, u niektórych *głupstwo*, a u bardzo mało *cnotę*!«

Przez ciąg podróży tak mu się »wszystko bardzo mieszało w głowie, że pisząc między Gratzem a Wiedniem list do Jaroszyńskiego, list, który oddał na pocztę w Wiedniu, prosił przyjaciela, ażeby odpowiedź swoją adresował *à Gratz*... Zapomniał, że był tam tylko w przejeździe.

Od dnia do dnia odkładany »wieczny, straszny rozdział«, nastąpił w Wiedniu, dnia 17 października 1835 roku¹⁾. Ostatni dzień jednak, dzień poprzedzający rozstanie, dzień, który pocie przeszedł »jak sen«, a został się w nim, »jak męka«, dzień, po którym życie jego »stało się bryłą granitu«, spędzili nie w Wiedniu, ale w jego okolicach. Dzieci zostały w mieście.

O, był to jeden z tych »dni nieśmiertelnych, które nigdy w pamięci nie wymierają: z tych dni zabijających, stanowczych, które odmieniają postawę, twarz, ruchy człowieka, a w duszy jego coś niszczy, przetwarzają; z tych dni koniecznych, w których objawia się siła przeznaczenia, jakby siła jaka natury ślepa, bez *ale*!«

¹⁾ Zob. List do Jaroszyńskiego z Wiednia 10 grudnia 1835. Ciekawym jest ustęp w liście do Gaszyńskiego (Florencya 4 marca 1836), rzucający światło na stronę, że tak powiem, finansową tego romansu. »Co się tyczy pieniędzy — pisze autor »Irydionu« — nie raz mój drogi myślałem już o przesłaniu ich tobie; i to ciężarem niemałym mi było, że nie mogłem, z powodu, że uniesiony na drodze, którą stapałem przez całe lato (1835), wyszastałem, co miałem. Kiedy człowiek żyje nie na ziemi, nie ma czasu się rachować. Miłość jest niszczycielką wszelkich ziemskich porządków« etc. etc.

Na dworze było śnieżno, ponuro. Powietrze zimne, przejmujące. Wiatr pruszył w oczy lodowatym deszczem i, targając okiennicami, gwiżdząc w kominie, zdawał się zawodzić — jak gdyby dla nich umyślnie — żalosną pieśń pożegnania, pieśń, która im, choć pili z czary upojeń, do czary tej sączyła łyzy, kropla po kropli, jak w owym *preludium* Chopina...

IV.

Zostawszy sam, »smutny jak tysiąc nietoperzy«, wyczerpany nadmiarem wzruszeń, na ciele słaby a »w duszy« zrozpaczony, wiedział Krasiński, że tym razem rozstał się z ukochaną na dłuższy przeciąg czasu, nie przypuszczał jednak, że od następnego spotkania przedzieli go całych ośmnaście miesięcy i że spotkanie to, z jego winy, niczem przypominać nie będzie tegorocznego, w Ischl. Nie przeczuwając, że płomień miłości, tak gwałtowny obecnie, nie będąc wciąż świeżemi podsycony wrażeniami, może się zmniejszać stopniowo, z dniem każdym, i w końcu zgasnąć zupełnie — same bowiem wspomnienia nie są nigdy zdolne w jednakim go stopniu podtrzymać — upadał pod brzemieniem żalu, ani mu bowiem przez myśl nie przeszło, że ten dzień rozdziału z ukochaną był jednocześnie w rozwoju jego uczuć punktem kulminacyjnym, dniem przesilenia i, jeżeli się tak wyrazić można, początkiem psychicznego odpływu.

Nie przewidywał nic podobnego. Zanadto wierzył jeszcze w moc swego przywiązania dla niej... Nie przeszkadzało mu to swoją drogą zdawać sobie

LUDWIK STASIAK.



WSPOMNIENIE Z POGRZEBU T. LENARTOWICZA.

Orszak. — Włościanie.

dokładnie sprawę z rozstroju nerwowego, w jaki go ten szalony prawdziwie miesiąc wtrącił, a którego następstwem była trapiąca poetę od chwili wyjazdu pani Bobrowej bezsenność najzupełniejsza. »Żal i tęsknota«, którym się już i we dnie opędzić nie miał możliwości, dręczyły go po nocach — jak Erynnje — halucyna-

cyjnemi widzeniami »straszných, ostatecznych scen«, — na których przypomnienie samo — łyzy rzesiste ciśnieły mu się do chorych, zbolących oczu, spędzając sen z powiek.

Nie mogąc się opędzić zwątpieniu, szukał ratunku w modlitwie i chadzał do kościoła św. Szczepana — gdzie niedawno jeszcze modlił się z nią razem — i »msze kazał odmawiać, jakby za duszę, co odleciała, za istotą, z którą wieczny, straszny rozdział nastąpił«, rozdział »gorszy od śmierci«, zwłaszcza, iż serce poety, wiedząc »o drugim, że bije«, wiedziało również, niestety, że »choćby pękło za nie, pękłoby samo, nadaremnie«.

Tak »po chwilach uniesienia i dziękczynienia dla tej miłości, która strzeże i z toni dobywa«, przyszła kolej w życiu Zygmunta na »smutne pasma«, na cały szereg dni »stroskanych«, w ciągu których »dusza jak

mogła odpychać ciało, by jej lepiej było po zerwaniu łączących tasiemek«. I zdawało mu się niejednokrotnie, »jakoby widział rusztowanie i słyszał ostatnie namowy księdza«. Ludzie, spotykający go, a którym on zazdrościł, że ich zająć mogą »komeraże, intryżki i klucze na polach fraka«, nie wiedzieli, rozmawiając z nim »o rozmaitych zresztą bardzo obojętnych rzeczach«, przez jakie w tej chwili przechodził męczarnie. Nie wiedzieli bowiem, że całą ambicją jego było nie dać poznać po sobie, »co w nim się działo«. Jakoż, z wyjątkiem Danielewicza, przed którym nie miał tajemnic, oraz dwóch nieobecnych przyjaciół, Sołtana i Jaroszyńskiego, do których pisząc, mógł być otwartym i mówić o wszystkim, co mu leżało na sercu, nie miał się nikt w nim domysleć »trupą« bez duszy, bo dusza, »co z niego wyszła«, uleciała do siostry swej, równie, jak ona, cierpiącej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FERDYNAND HÖSICK.

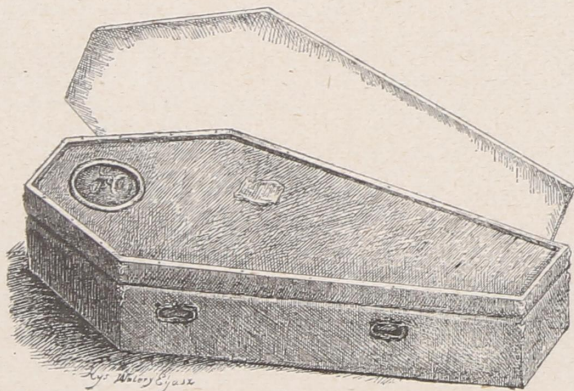
KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

I.

Rysy charakterystyki Morstina. — Wędrówki zagranicą. — Poselstwo Opalińskiego. — Stosunek Morstina do królowej. — Taktyka Morstina. — Podróż do Paryża. — W czasie rządów Michała. — Nowa elekcyja. — Dyplomacya francuska a Morstin. — Listy naturalizacyjne. — Ambasada do Ludwika. — Pojęcia o poddaństwie. — Pożyczki agitacyjne. — Talent dyplomatyczny. — Rzetelność patriotyzmu. — Religijne wierzenia. — Towarzyskie nawyki. — Natchnienie poetyckie. — Medal pamiątkowy.

Zanim opowiemy historią zabiegów Morstina w sprawie przeszkodzenia zawarciu ligi świętej z cesarstwem, zanim w związku i na tle tej historii nakreślimy głośny proces wdrożony przeciw podskarbiemu wielkiemu koronnemu na sejmie 1683 roku, pokusimy się o odtworzenie duchowego wizerunku naszego bohatera z faktów jedynie ogólniejsze wysnuwając wnioski. Przecież czyny, dzieła ludzkie najprawdziwsze mają zwierciadło w charakterze i przeszłości życia. Morstin we wczesnej młodości idąc w ślady katechizmowego niemal społecznego zwyczaju, zwiedził Niemcy, Francją, Włochy, dotarł po Skaldę do Belgii, a za powrotem do ojczyzny pierwsze począł stawiać kroki na drodze politycznej kariery zaliczony w poczet poselstwa Krzysztofa Opalińskiego, wyprawionego do Paryża po rękę Maryi Mantuańskiej dla Władysława IV. W licznym zastępie poselstwa nie jaśniał wprawdzie Morstin urzędem, ale za to górował nad innymi bywalstwem i polorem w cudzych krajach uzyskanym, sprawnością, dokładną znajomością języków francuskiego i włoskiego, przystojnością i galanterią. Może już natenczas Marya Ludwika zajęła się młodym poetą, a zająwszy się raz, po rozpatrzeniu się w stosunkach Polski z czasem odgrzebała go w pamięci. Po powrocie do domu szczęście śmiało się doń powabną siłą nadziei. W początkach panowania Jana Kazimierza piastował nieznaczną godność pokojowca królewskiego, potem prędko przebiegał szczeble różnych zaszczytów, otrzymał referendaryę, rodzaj sekre-



Trumna ze zwłokami ś. p. Teofila Lenartowicza.

taryatu stanu, a wreszcie w roku 1668 wielkie podskarbstwo koronne. Dla Morstina wszechwładztwo zdobyte przez Maryą Gonzagę, było obfitem źródłem pomyślności. Królowa w bujnej wyobraźni pielęgnując ideały zmierzające do postawienia na gruzach dotychczas wadliwego ustroju Polski gmachu nowożytnego porządku państwowego w postaci dziedzicznej monarchii, odślaniała swoje zamiary przed różnemi osobami i starała się związać z losami umiłowanej myśli szerszy zastęp współpracowników. Morstin zbliżywszy się do królowej zacieśniał raz zadzierzgnięty węzeł znajomości, wywierał na jej umysł potężne wrażenie, umiał z duszy Maryi wydobywać najtajniejsze

zamiary zapomocą podrażniania i rozbudzania w niej gniewu, albowiem obdarzony zimną krwią zachowywał wyższość nad roznamietnioną, uczuwał się panem położenia¹⁾. Najłatwiej z pomiędzy współczesnych trafiał do przekonania królowej, łamał upór i zawziętość kobiecą, zagadki woli koronowanej pani przenikał, nieledwie z ócz wyczytywał zanim się z ust wykradły²⁾. Marya zainteresowała się człowiekiem tak obrotnym, zręcznym, gustowała w usposobieniu nawskróś sprytnem, elastycznym, chętnie z nim się znośiła,

używała go do wybadywania opinii i wykonywania prywatnych zleceń. Podobno marszałek wielki koronny protegował go na dworze, niebawem jednak ściągawszy na siebie uwagę i dobiwszy się wpływu, zaczął się bawić w mecenasa Lubomirskiego, wyrabiał mu beneficia, a sam wy kierował się na totumfackiego królowej i pośrednika między nią a głowami politycznych stronnictw³⁾. Za to Jan Kazimierz Morstina nie lubił⁴⁾,

¹⁾ Przegląd literacki *Kraju* peters. r. 1890, nr. 6. — Depesza biskupa Bonsy do ministra de Lionne w artykule Dr. Cermaka: »Szczegół o Andrzeju Morsztynie«.

²⁾ Sienkiewicz: »Skarbiec« T. I. Str. 383. Memoryał Cailleta do księcia de Condé z r. 1662.

³⁾ Raczyński: »Portofolio«, T. I. Str. 290 sq. Stan spraw Polski i instrukcyja dla posła w sprawie elekcyi ks. d'Anghien.

⁴⁾ Depesza Bonsyego do de Lionne, l. c.

a Morstin snąć równą wypłacał się wzajemnością, wielbiąc bowiem w wierszach Maryę Ludwikę, pod niebo wynosząc jej stateczność i rozum stanu, troskliwie przemilczał imię monarchy.

Morstin zaciągnął się do stronnictwa francuskiego, do stronnictwa królowej, nie wiadomo czy własnowolnie, ze sympatii i przekonań, czy też pod naciskiem, namową Maryi; pomimo to nie zapalał się do ideałów tego stronnictwa gorączkowo, znał zmienność szczęścia i kruchość politycznych haseł, prądowi unieść się zupełnie nie pozwalał. Był małomównym, bo na tajemniczości nic nie tracił, za to po cichu wszędzie rękę przykładął, wtrącał się do każdej niepozornej drobnostki, niby bez celu, od niechcenia. Przezorność, ostrożność, śmiałość udana, podszyta istotną lękliwością i podejrzliwością, cechowały jego postępowanie. Od stóp do głów dyplomata rzadko się entuzjazmował, unikał krańcowości, a jeżeli dla jakiegoś czynu silniej w nim uderzyło serce, jeżeli dawał inicjatywę do działania, jak w czasach Michała, rachował na uboczu czy miał odpowiednią ilość towarzyszy, czy po pewnym stapał gruncie. Kiedy Lubomirski niespodzianie rozstał się z myślą wspierania księcia d'Anghien i otwartym został wrogiem życzeń dworu, pan referendarz koronny przybrał rolę spowiednika sumienia przyjaciela i klucza do otwierania zagadek marszałkowskiej chimery, pośredniczył nieprzerwanie między zwolennikami królowej a obozem zbuntowanego magnata, chciał utrzymać się tam i tu w równowadze, w życzliwości, nie wiedząc jak się zakończy zawierucha, uważał za rozsądek polityczny i dobry środek ochronny zachować na razie w połowie łaski w Wiedniu, w połowie w Paryżu, u pana de Lisoli i de Lumbres¹⁾. Dla Lubomirskiego żywił uczucie wdzięczności, z sprawą elekcyi wiązał go stosunek do królowej, oświadczyć się stanowczo za jedną stroną było niewygodnem. Marszałka dobroczyńcy na dobre nie opuścił, snąć pragnął powrotu jego do władzy, lub nie dowierzał w duszy, aby dwór znalazł sposób zgubienia potentata²⁾. Gdy się położenie nieco rozjaśniło po katastrofie częstochowskiej i zawarciu rozejmu z końcem roku 1665, opinia społeczeństwa krzywo spoglądała na akrobatyczne figle referendarza³⁾, francuscy partyzanci elekcyi nalegali na Maryę Ludwikę, aby zniewoliła osobistości dwuznaczne do szczerego wyznania wiary, w pomienionej kategorii wymieniano Morstina ze szczególnem upodobaniem. Ale asekurację zawsze chował w zapasie, był przecież niegdyś konfidentem swojej pani, z tej epoki uskładał listy i papiery kompromitujące dwór, nikt go przymuszać nie mógł do spowiedzi politycznej, miał furtkę na oścież odemkniętą⁴⁾. Śmierć Lubomirskiego wybawiła z kłopotu Morstina, sytuacja trochę się ustaliła, dłużej nie potrzebował się kępować. Królowa też jakby zapomniawszy o chwiejności wielkiego referendarza, jakby w dowód zupełnego pogodzenia się z nim i złożenia w jego zdolnościach najwyższego zaufania, powierzyła mu bardzo ważne poselstwo do Paryża. Zamierzała ona pod pozorem grożącej wojny tureckiej ściągnąć z Francyi pieniądze i wojsko na wyprawę przeciw Turkom, w rzeczywistości zaś de Condé stojąc na czele posiłków, miał przekupić polskiego skonfederowanego żołnierza i orężnie wymóżyć swój wy-

bór¹⁾. Ale misję Morstina i wszystkie zabiegi monarchistów zniweczyła śmierć Maryi Ludwiki, wraz z ubytkiem tej wybitnej, tętniącej energią i ruchliwością postaci, osierocił ideę monarchizmu najczynniejszy wykonawca.

Abdykacja Jana Kazimierza wzburzyła umysły, stronnictwo francuskie wykształcone i wyćwiczone w szkole zgasłej królowej, usiłowało zrealizować jej polityczny testament, ale te przedsięwzięcia zniszczyła prawdziwa ironia losu: okrzyknięcie szlachecko-gminnego elekta w osobie Wiśniowieckiego. Niedoleźstwo nowego pomazańca wywołało szereg spisków, najlepsi senatorowie pracowali nad zgubieniem Michała, uważał się też niezwykle czynnie koło konspiracji Morstin, układał prawdopodobnie i wręczył memoriał pułkownikowi de Lionne wyprawionemu na koronację Michała, agitował gdzie się udało przeciw wybrańcowi gminu szlacheckiego. Kiedy wreszcie nieczuły na sympatyje malkontentów, Ludwik rozwiął niebawem ich złudzenia, ciężko było Morstinowi abdykować, objaśniał dyplomacyi francuskiej, że za daleko się posunięto, że państwa niepodobna bronić ani rządzić niem na przyszłość bez stanowczego przewrotu, dlatego koniecznie należy zahazardować krok chociażby niebezpieczny²⁾. Nie zastraszyło Morstina niepowodzenie, zanadto wysoką stawkę rzucił na kartę, zanadto przyczyniał się do podkopania króla, aby zatrzeć w jego sercu niechęć, wołał raczej mając wybierać między fałszywym przebaczeniem a rewolucją, która mogła sprowadzić zmianę tronu, oświadczyć się za ostatnią. A może powiedzie się zedrzeć z głowy koronę Michałowi i ozdobić nią hrabiego St. Paul de Longueville?

Los zgotował niespodziankę stronnictwu reformy usuwając znenawidzonego króla ze świata żyjących i powołując na jego następcę wybitnego członka z obozu monarchistów. Podskarbi podobno niechętnie patrzył jak Sobieski obławiał się wakansami po nieboszczyku wielkim marszałku, nadal jednakże zachowywał z nim dobre stosunki³⁾, a w stanowczej chwili, kiedy wybór francuskiego kandydata był hasłem bez zwolenników, pomagał towarzyszowi niedawnych tajemnic spiskowych⁴⁾. Chociaż pragnął wyniesienia na tron księcia de Condé jak »własnego zdrowia«, namyślił się w rozstrzygającej godzinie⁵⁾, upierać się nie było potrzeby, bo instrukcja dla ambasadora francuskiego, biskupa Forbin Janson, zmierzała zasadniczo do wykluczenia jedynie od wyboru Karola Lotaryńskiego, mógł więc spokojnie przejść na stronę bliską wygranej.

Mimo życzliwości Francyi okazywanej, dyplomacja Ludwika nie umieściła podskarbiego w rubryce wiernych wersalskich pensyonarzy. Jurgieltu brał Morstin dziewięć tysięcy liwrów. Czujni, bystry ambasadorzy przeniknęli jego charakter i manierę polityczną, nie ufali mu, bali się jego przebiegłości. W roku 1662 posadzano go o zaprzękanie się elekto-

¹⁾ Waliszewski: »Polsko-francuskie stosunki« tekst. Str. 88.

²⁾ Depesza Bonsy'ego, l. c.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Waliszewski l. c. tekst. Str. 148.

¹⁾ Plebański: »Jan Kazimierz Waza — Marya Ludwika Gonzaga«, Str. 155.

²⁾ Szujski: »Pierwsze związki polskie z hr. St. Paul de Longueville«. — Opowiadania i roztrząsania. T. IV. Str. 217.

³⁾ Depesza Bonsy'ego do de Lionne, l. c.

⁴⁾ Waliszewski: »Archiwum spraw zagranicznych francuskie«. T. I. Str. 58. Ogólnego zbioru wydawnictw krakowskiej akademii »acta historica Poloniae« tom trzeci. Dla krótkości wydawnictwo to cytować będziemy: A. h. P.

⁵⁾ Tamże. Str. 2.

rowi brandenburskiemu w sprawie zwrotu Elbląga¹⁾, potem o przyjmowanie odeń prezentów w dukatach. Biskup marsylijski, wspomniany Janson, wy badał i przekonał się, że Morstin bardzo ostrożnie postępuje i z całym światem miał już stosunki²⁾. Nie dowierzał mu i następca w urzędzie biskupa, markiz de Béthune, który raportował i to z szczerą wiarą Ludwikowi, że Morstin nawiązał rokowania z baszą kamienieckim, aby zniszczyć punktacye kazimierzowskie, stanowiące podstawę późniejszego nieco traktatu jaworowskiego, a to w celu uniknięcia w razie pokoju kontroli skarbowej, lub może pozyskany przez cesarza³⁾. Nie inaczej śnać zapatrywano się na osobistość pensyonarza u głównego źródła, w kancelaryi ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu. Tam zadawano sobie pytanie, czy umysł Morstina skłonny do skrytości, naprawdę sprzyja polityce Ludwika; dla wszelkiej pewności nakazano markizowi strzedz się, aby go nie oszukał⁴⁾. Kiedy Morstin starał się o prawo obywatelstwa we Francji, Forbin Janson nie odmówił mu ze względów taktycznych poparcia u swego dworu, wystawił dlań nawet arcy pochlebne świadectwo, wiedząc, że je odczyta i załączy do paczki dokumentów zawierających prośbę o listy naturalizacyjne, cichaczem jednakże spełnił obowiązek sumienia, ostrzegając Ludwika, iż działalność podskarbiego nie jest ani tak czystą, ani tak bezstronną, jak z konieczności przedstawił... Właściwie Morstin za wyłączną regułę uważa wszędzie osobisty interes i w tym widoku wiąże się równocześnie ze wszystkimi stronnictwami, nawet z opozycją, przestrzegając ze wszech stron umiarkowania⁵⁾. — W Paryżu posiadano środek na hamowanie skoków Morstina w postaci pieniędzy wyłożonych przezeń na rzecz księcia de Longueville w erze knowań przeciw Michałowi, w postaci okazałych kwot pożyczonych ambasadorom francuskim na cele agitacyjne, wreszcie w postaci owego żadanego indygenatu. Już w połowie roku 1674 nosił się on z myślą zamieszkania na stałe wraz z żoną i dziećmi we Francji, ale poprzednio chciał przysposobić w nowym miejscu osiedlenia się gospodarstwo domowe i nabyć znaczne dobra⁶⁾. Podobno miał natenczas na oku rozległe klucze dzierżaw d'Aumalle⁷⁾, kupno wszakże rozbiło się o nieznane przeszkody. W ministerstwie spraw zagranicznych pochwalano podobny zamiar, jako bowiem poddany przyszły Ludwika i właściciel wielkiego obszaru dawał poniekąd zadatek, że Francji nie zawiedzie. Pomimo tych okoliczności wahano się dość

długo, nie kwapiono się z udzieleniem mu inwestytury obywatelskiej, chodziło widocznie o przetrzymanie w Polsce poddanego *in petto*, aby tam na wpływem stanowisku dorabiał się w służbie polityki francuskiej upragnionego zaszczytu. Dopiero po czteroleciu zwłoki przyznano mu obywatelstwo francuskie¹⁾. Odtąd zniknął jakoś głos nieufności, podejrzliwości względem podskarbiego, a na jego miejsce wstąpił głos pochwały. Dlaczego Morstin rad się był z Rzeczypospolitej wynieść? Zamiar to jak się pozornie wydaje rozpaczą, zwątpieniem, w każdym razie jakimś wstrząśnieniem ducha wywołany! Gorączka emigracyjna owładnęła spólcześnie kilku ludzi z dawnego obozu reformy, chcieli oni pożegnać się z krajem rodzinnym i iść do ziemi obiecanej, do Francji. Po abdykacyi Jana Kazimierza, dopraszał się indygenatu francuskiego Sobieski, a Ludwik XIV. w zamian za zobowiązanie się do popierania kandydatury księcia de Condé w razie korzystnej dla siebie elekcji ofiarował mu dobra, godność para,



EDMUND RÓŻYCKI.

marszałka i order świętego Ducha. Wybór Michała unieważnił układ, lecz nie omieszkał go wznowić Ludwik, kiedy znowu tron osierociał, celem pozyskania pomocy i wpływów Sobieskiego dla kandydatury księcia Neoburskiego²⁾. W roku 1673 powrócił wielki marszałek do zamiaru przesiedlenia się, nawet już otrzymał na to zezwolenie arcychrześcijańskiego króla³⁾. Za podobną myślą uganiał się w kilka lat potem kanclerz koronny Wielopolski, szwagier Sobieskiego, i on kołatał za pośrednictwem de Béthune'a do Wersalu o prawo swojszczyzny i on szukał dóbr we Francji⁴⁾. Sobieski popularny i wsławiony w Rzeczypospolitej wódz działał chyba pod wpływem rozdrażnienia, wstyd mu i przykro było ulegać koronowanemu niedołędze, takiemu malowanemu królowi jak Michał, zamiaru jednak nie uskutečnił; natomiast Morstin nie otrząsł się

z niechęci, zwątpił o całą Polskę⁵⁾, obmierzło mu wszystko, począwszy od roku 1674 systematycznie przygotowywał wyjazd do Francji. Oprócz odrazy, braku wytrwałości, pchały go do wzięcia rozbratu z krajem właściwości charakteru, które się niebawem uwidoczniły, pchały może i inne pobudki. Mianowicie od chwili wstąpienia Sobieskiego na tron, obiegały głuche wieści o nieuczciwej gospodarce skarbowej Morstina, wieści te zrazu oględnie na ucho podawane, rozrosły się z czasem, uporczywie z roku na rok powtarzały, aż wkrótce zamieniły się w publiczną a powszechnie znaną tajemnicę. Trudno przypuścić, aby Morstin nie słyszał nic o tej opinii szlachty, kto wie czy ona jeszcze bardziej go nie zniechęcała i nie zagała do przeczornego zawarowania sobie odwrotu.

¹⁾ Portofolio, I. c. T. I. Str. 290 sq.

²⁾ »A. h. P.« T. III., depesza do Ludwika XIV. d. 21 maja 1674. Str. 38.

³⁾ Tamże. Str. 195.

⁴⁾ Tamże. Str. 271, 272.

⁵⁾ »A. h. P.« T. III. Str. 84.

⁶⁾ Tamże. Str. 82.

⁷⁾ Tamże. T. V. (wyd. Waliszewskiego 2-gi). Str. 303.

¹⁾ Tamże. Str. 43.

²⁾ Pomponne: »Mémoires«. Paris 1868. T. II. Str. 423 sq.

³⁾ Oeuvres de Louis XIV. T. V. Lettres particulières. Str. 518.

⁴⁾ »A. h. P.« T. V. Str. 257.

⁵⁾ Tamże. Str. 130.

(Ciąg dalszy nastąpi).

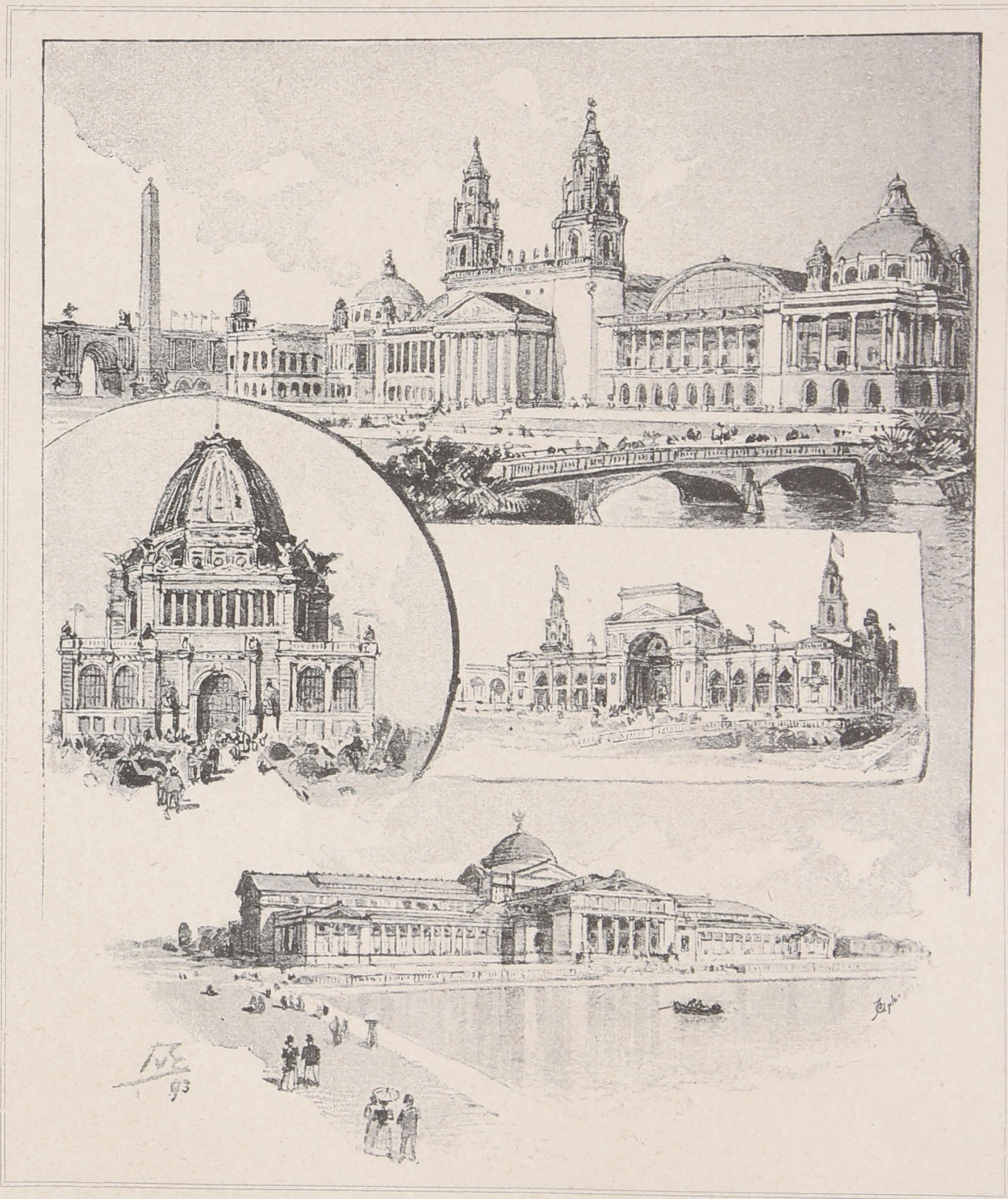
ERNEST DEICHES.

JÓZEF SUPIŃSKI.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Zmarły w marcu b. r. Józef Supiński, był u nas jednym z pierwszych pracowników na niwie nauk społecznych. Na tem początkującym stanowisku pozostał do końca, smutne bowiem kalectwo zabrało nauce ostatnich dwadzieścia lat jego życia. Jakkolwiek jednak

nauki do charakteru i potrzeb własnego narodu, to wreszcie, że chociaż przed trzydziestu już laty jeden z pierwszych, nie wielu po sobie liczył następców w dziedzinie, w której pracował. W istocie nie był oryginalnym. Jakkolwiek jednak w »Myśli ogólnej



WYSTAWA W CHICAGO.

w socjologii i ekonomii politycznej reprezentował minioną dobę, jakkolwiek myśli jego wobec stanu dzisiejszej nauki na przyjęcie i utrzymanie rachować nie mogą, to jednak nietylko przeszłe zasługi cenić w nim wypada. Trzykrotne wydanie dzieł jego (ostatnie w r. 1883) jest dowodem, że tkwiła w nich siła nie pozwalająca się im starzeć, odmładzająca je mimo wieku i ujęcia steru nauki przez młodsze, na innych wzorach i podstawach kształcone pokolenia. Nie pomylimy się może, twierdząc, że tą siłą była samodzielność myśli Supińskiego, uwzględnianie i zastosowanie

fizjologii wszechświata» ulegał wpływowi Comte'a, a w »Szkole polskiej gospodarstwa społecznego« w gruncie był wiernym klasycznej szkole angielskiej, to jednak zasady pierwszego przedstawił z innej — jak sam mówi — »strony widzenia«, a co do nauk drugiej, silne poczynił zastrzeżenia. Nasze potrzeby przedstawiał i pragnął zaspokoić nietylko w »Projekcie narodowego banku oszczędności«, w rozprawie »Stowarzyszenia i spółki«, w »Listach treści społecznej« i w obliczonych dla najszerszych kół »Siedmiu wieczorach«, ale i »Szkola polska«, jakkolwiek mówiąca o nauce

»powszechnej, jednej i tej samej dla wszystkich«, pełną jest przystosowań do naszych stosunków.

Podnosić szczegóły teoryj ekonomicznych Supińskiego i oceniać je wedle dzisiejszej nauki, byłoby niesprawiedliwością. Przed trzydziestu jednak laty »Szkoła polska gospodarstwa społecznego« nietylko dla nas była nieocenionym nabytkiem, ale i wogóle w nauce znamionowała postęp. Supiński przypomina Bastiat'a i Carey'a, a do tego ostatniego zbliża się niejednokrotnie, jakkolwiek go nie znał. To pokrewieństwo duchowe charakteryzuje jego naukowe stanowisko, jak i ono ściąga na niego zarzuty, że przeszczepił do nas liberalną, burżuazyjną ekonomię polityczną itd.

W »myśli ogólnej fizyologii wszechświata«, którą słusznie nazwać można zarysem socjologii, bo jej zadaniem wykazanie »praw odwiecznych... z życia towarzyskiego — od woli niczyjej niezawisłych, których nie osłabić i zmienić nie zdoła«, zadziwia niejedną myśl, a w każdym razie trwałą zasługą autora zostanie to, że jeden z pierwszych u nas zaznaczył potrzebę szukania tych praw nie w metafizyce, ale »w części znajomej natury człowieka«, że chciał »oprzeć prawa ludzkie na zasadniczych prawach przyrody«. Inna rzecz, że pragnień tych nie wykonał. Nie jest to w mocy ani jednego umysłu, ani jednego nawet pokolenia. Mimo tych premis bowiem system jego jest apriorystycznym. Biorąc za punkt wyjścia ruch, z przyjętego przez siebie pewnika, że »wszystko, co jest, pod dwojakim pojawia się względem: każda pojedyncza istota, każde ciało, każdy nawet pomysł człowieka jest raz całością samą w sobie, raz częścią dalszej, rozleglejszej całości«, dochodzi do wniosku, że musi istnieć dwojaki ruch, ruch części i całości. Ale nie dosyć na tem. »Jak dwojaki jest tylko stanowisko każdego istnienia, będącego raz całością samą w sobie, raz częścią rozleglejszej całości, — tak dwie jest tylko siły w przyrodzie: siła rzutu i siła przyciągania«. Temi siłami tłumaczy wszystkie zjawiska społeczne, przenosząc bez zastrzeżeń prawa fizyczne w dziedzinę socjologii. Widocznem jest, że tak premisa, dwoisty ruch, jest dowolną, z góry powziętą myślą, jak i nieudowodnionem jest istnienie dwóch sił Supińskiego. To ostatnie popiera chyba tylko analogia z również hypotetycznym dwoistym ruchem. Taką samą analogią jest i uważanie społeczeństwa za organizm, a teoria ta w połączeniu ze stosowaniem praw fizycznych do zjawisk społecznych, jest podstawowym błędem Supińskiego, czyniącym jego naukę tak odległą od dzisiejszych pojęć.

Tłumaczenie zjawisk i praw społecznych zapomocą tych dwóch sił wydaje się niejednokrotnie dziwaczne. Supiński próbował swych sił i w poezyi (»Tatarzy«, tragedia w pięciu aktach, i »Arcez«, tragedia w czterech aktach). Otóż zdawałoby się nieraz, że go zapal poetyczny nie opuszcza i tam, gdzie ści-

łość badania wymaga raczej przyznania się do nieznajomości czegoś, aniżeli wypełniania luk hipotezami, tylko poecie przebaczanemi.

Inaczej jednak przedstawi się wartość »myśli ogólnej fizyologii wszechświata«, jeżeli uprzytomnimy sobie, że Supiński porwał się jeden z pierwszych na podanie praw rządzących społeczeństwem, że nie władając metodą ani nie rozporządzając materiałem, jakiego dzisiaj dopiero zaczyna dostarczać etnografia, rzucił niejedną myśl, zdolną zastanowić i pouczyć. Pobudzenie do myślenia i oświecenie niejednego zjawiska z nowej, oryginalnej strony... oto właściwa doniosłość dzieła Supińskiego. Tak mało wiemy wogóle o społeczeństwie i jego rozwoju, tak spornemi są tutaj podstawowe kwestye, tak wreszcie niewiele mówią jakiegokolwiek formułki, któremi chcemy wytłómaczyć społeczne objawy, niejednokrotnie niepomi, że te formułki same potrzebują jeszcze wyjaśnienia, że każdy poryw stworzenia syntezy wzbudzać powinien szacunek i uznanie, bo każdy z nich... to co najmniej jedno więcej doświadczenie mające doprowadzić do stanowczego wniosku.

Żadne z dzieł Supińskiego nie charakteryzuje tak dobrze jego umysłu, jak właśnie »myśl ogólna fizyologii wszechświata«. Silniejszy od drobnych, acz pożytecznych pracowników, dostarczających tylko szczegółów, ogarnia bowiem całe pole dociekań ludzkich, słabszy jednak od niejednego z nich, bo w pozytywistycznym kierunku, na którym opiera swoją »myśl ogólną«, nie trwa wszędzie i niejedną czyni w nim wyłom, Supiński jest dla nas reprezentantem okresu przejściowego z metafizycznych spekulacyj do filozofii pozytywistycznej. Te dwa punkty t. j. wyjście z ram, w jakich obracała się dedukcyjna klasyczna ekonomia, wkroczenie w dziedzinę socjologii, ujęcie w system praw społecznych z jednej strony, a z drugiej chęć oparcia tych praw na gruncie realnym, stanowią główną zasługę Supińskiego. Samo zwrócenie nauki w tym kierunku zapewnia Supińskiemu miejsce w naszej nauce, tem zaszczytniejsze, że musiał walczyć z trudnościami, jakie napotyka każdy, kto sam tworzy drogę, a nie kroczy ubitą już, utartą i znaną.

Życie Supińskiego, wypełnione walką o chleb, i jego działalność autorska, rozwijająca się wśród naszych mniej niż skromnych stosunków wydawniczych, w porównaniu z pięciu tomami jego dzieł i ich trzechkrotnem wydaniem dowodzić muszą i wielkiej jego pracy i energii rzadkiej. Wykazują nadto umiłowanie przedmiotu i silne przekonanie o pożyteczności jego badania dla społeczeństwa.

Śmierć Supińskiego przeto zabrała z pośród nas nietylko człowieka wielkiej wiedzy i szerokiego umysłu, ale także charakter o niezwykłym harcie i poświęceniu dla sprawy gorącym. A tego ostatniego żałować nam przedewszystkiem wypada.

DR J. L.



K R O N I K A.

* Powzięta przez Krakowskie Towarzystwo im. Tadeusza Kościuszki myśl urządzenia w roku przyszłym — jako w stuletnią rocznicę składania przysięgi na rynku krakowskim przez Kościuszkę — wystawy zabytków, odnoszących się tak do osoby bohatera z pod Racław-

LUDWIK STASIAK.



WSPOMNIENIE Z POGRZEBU T. LENARTOWICZA.
Orszak. — Włosianka ze Szlązka.

wie, jak i jego epoki, wejdzie w wykonanie. Prezes wymienionego towarzystwa p. Skirliński, udał się do Rapperswyłu, gdzie Muzeum Narodowe przechowuje najcenniejsze pamiątki po Kościuszcze, celem uzyskania zezwolenia na przewiezienie ich na wystawę do Krakowa. Zarząd muzeum uchwalił: uczynić zadość jego życzeniu. Zapewnienie to pozwala zatem przystąpić do dzieła, które dla badań nad końcem XVIII wieku niemałe przynieść może korzyści, a w szerszych sferach społeczeństwa polskiego obudzi tradycję działalności narodowej, podjętej pod hasłem Kościuszki. Nie wątpimy, że akcja towarzystwa zgromadzi rozproszone po ziemiach polskich i obczyźnie zabytki z lat pamiętnych, a rodacy nasi w kraju i zagranicą, zajmą się też zaraz ich zbieraniem, aby następnie wzbogacić niemi wystawę krakowską. Towarzystwo im. Kościuszki powierzy jej kierownictwo komitetowi obywatelskiemu, do składu którego zaprosi znawców.

* Bawił w naszym mieście Juliusz Zeyer, największy, obok Vrchlickiego i Czecha, ze współczesnych poetów czeskich. Rozległej nader twórczości, jest jednak przedewszystkiem epikiem, równie w wierszach, jak w prozie. Z poematów jego na naczelnem miejscu postawić należy: »Vyszehrad«, »Przyjście Czecha«, »Legendę o św. Brandanie«, oraz szereg powieści poetyckich, pod ogólnym tytułem: »Z kronik miłości«. W dziedzinie powieści i noweli do najlepszych jego rzeczy należą: dwa tomy »Nowel«, »Powiastki fantastyczne«, »Stratonika« i inne nowele, oraz — zwłaszcza »Jan Maria Plojhar«. — W strunę liryczną uderzał rzadko, lecz zawsze wydobywał głębokie i pełne dźwięki. Dramatów napisał cały szereg i są to rzeczy prawdziwej, złotej zawsze pełne poezji; do najlepszych zaliczyć trzeba: »Legendy z Erynu«, »Gniew Libuszy«, ostatnio wydanego »Nekłana«, oraz kilka prześlicznych rzeczy drobniejszego rozmiaru (»Bracia«, »Z doby różowego ranka« i t. d.). Lubuje się w minionych epokach, aczkolwiek i z teraźniejszości umie wydobyć, co w niej jest wielkiego. Kolorysta

niezrównany sięga po temata we wszelkie strony świata; egzotyzm przypominałby snadź Loti'ego, ale przewyższa go głębią — i poezią. Język, nawet w prozie, ma cudownie poetycki.

* Adam Szymański, autor »Szkiców syberyjskich«, gościł — w przejeździe za granicę — dni kilka w Krakowie. — Przy sposobności dzielimy się z czytelnikami naszymi dobrą nowiną. Oto już w przyszłym numerze *Świata* rozpoczniemy druk najnowszej jego nowelli, noszącej tytuł: »Pan Antoni«. Jest to utwór pierwszorzędного znaczenia, stojący na wysokości poprzednich »szkiców« znakomitego pisarza, tak powszechnie i zasłużenie cenionego za talent wielki i niezmiernie artystyczną fakturę, jaką jaśnieją jego prace literackie.

* Dr Piotr Chmielowski, redaktor *Ateneum*, w przejeździe do Zakopanego, bawił w Krakowie dzień jeden.

* Józef Brandt, jak corocznie, opuścił na lato Monachium i udał się do Orońska, majątku swego w Radomskim, gdzie bawić będzie do końca sierpnia.

* Grono literatów, dziennikarzy i artystów podejmowało ucztą koleżeńską Maryana Gawalewicza. W toastach dźwięczała nuta szczerej serdeczności, zmieszanej z tonami głębszych myśli lub wesołego dowcipu.

* Czesław Jankowski, żegnany na dworcu kolei przez licznych przyjaciół i wielbicieli swego talentu, wyjechał do Paryża, zkład prawdopodobnie nie wróci do kraju wcześniej, jak za dwa lata.

* Tadeusz Blotnicki ukończył modelowanie popiersia Smolki i odlał je w gipsie. Następnie wykuję je artysta w marmurze.

* Na konkursie *Tygodnika Ilustrowanego* w Warszawie, otrzymali nagrody: Kazimierz Alchimowicz za obraz »Najem robotników« i Ludwik Stasiak za rysunek »Rybaczka z pod Melsztyna«.

* Budynek wielkiej »Panoramy« wznosi się już we Lwowie na placu Wystawy krajowej, a i prace przy samym dziele artystycznym, mającym być oprawionem w jego ramy, postępuje rażąco. W tych dniach rozpocznie się gruntowanie płótna, a niebawem Wojciech Kossak i Jan Styka, z kilku artystami, wybranymi z pośród świetnej naszej plejady malarzkiej, staną przed niem z pendzlami i paletami w rękę. Sądząc ze szkiców wykonanych, jak skończone obrazy, pierwsza polska panorama przedstawi się oczom widzów, jako prawdziwy utwór sztuki, przypominający tego rodzaju dzieła, co »Champigny« i »Rezonville«. Całość, czy to po stronie Kossaka, czy Styki, zajmuje życiem, prawdą, i ścisłością historyczną, a pojedyncze epizody tak są przejęte tonem lokalnym, że już to samo musi nadać panoramie charakter wielce interesujący. Dowiadujemy się, że Wojciech Kossak objął za zgodą Jana Styki (inicjatora) kierownictwo ogólne nad pracą. — Nie pozostaje nam, jak życzyć dzielnyemu artyście pomyślnego i rychłego ukończenia pięknego i zaszczytnego zadania.

* Jeden z najpoważniejszych organów francuskich, poświęconych sztuce, *Gazette des Beaux-Arts*, w sprawozdaniu swem, oceniającem wystawę obrazów w *Salonie* na Polach Elizejskich, nazywa portret Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego przez Kazimierza Pochwalskiego — »dziełem doskonałym«.

* Na wystawie Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Sukiennicach urządzono w trzecim *Salonie* ekspozycję zbiorową kilku cennych prac Mieczysława Zawiejskiego, pomiędzy którymi zwracają na siebie uwagę dwa (szczególnie mniejszy) interesujące popiersia Teofila Lenartowicza.

* W oddziale sztuki polskiej na wystawie

powszechnej w Chicago — (której ogólny widok i najwybitniejsze gmachy dajemy w odpowiedniej ilustracji w dzisiejszym zeszycie *Świata*) — znajduje się sto sześćdziesiąt obrazów, nadesłanych równie z Krakowa, jak z Warszawy. Z takiejże samej ilości płócien składają się oddziały: francuski, niemiecki i amerykański. Austriacki liczy 107 obrazów. Krytyka miejscowa — o ile to możliwym było dotąd sprawdzić — wspominała krócej i szerzej o »Wernyhorze« Matejki, o »Śmierci wygnanki« Malczewskiego, tudzież o utworach Popiela, Pruszkowskiego, Stasiaka, Tetmajera, Piotrowskiego, Kozaka, Mroczkowskiego i Styki. Mamy nadzieję, że w sierpniu mieć będziemy w tym kierunku szczegółową i pewniejszą relację.

* Ostatnia komedia Józefa Blizińskiego »Chwast«, przedstawiona dwa tygodnie temu na scenie »Teatru Rozmaitości« w Warszawie, doznała entuzjastycznego przyjęcia ze strony publiczności, a krytyka oceniła ją z największym uznaniem. Recenzja Kazimierza Zalewskiego — a chyba nikt mu nie zaprzeczy znawstwa — jest od początku do końca nader pochwlebną, pisaną z szczerem uniesieniem i głębokim zrozumieniem zalet utworu. — *Kurier Warszawski* zamierza wydać w książce nabyty przez się »Chwast«, a cały dochód z rozprzedaży przeznacza na korzyść wdowy po ś. p. Józefie Blizińskim.

* Występy gościnne pani Felicji Stachowicz-Grekowej na scenie naszej — pomimo końca sezonu i upałów — ściągają liczną publiczność do teatru krakowskiego. Ocenę gry sympatycznej i utalentowanej artystki pomieścimy w ogólnym sprawozdaniu z działalności teatralnej w roku bieżącym.

LUDWIK STASIAK.



WSPOMNIENIE Z POGRZEBU T. LENARTOWICZA.
Orszak. — Włosianki z okolic Krakowa.

* »Klub kawalerów« Michała Bałuckiego, w przekładzie Schvaba-Polabskiego, wystawiła z powodzeniem trupa dramatyczna czeska, dająca przedstawienia w Wiedniu. Recenzenci nawet gazet niemieckich wyrażają się o utworze bardzo pochlebnie.

* »Mąż z grzeczności« Abrahamowicza

i Ruszkowskiego, przedstawiony w przekładzie — jak to już donosiliśmy — na scenie Teatru Narodowego w Pradze czeskiej, podobal się publiczności i krytyce.

* Nowa opera Jareckiego »Barbara Radziwiłłówna«, ma być podobno przedstawioną w Wiedniu.

* Bolesław Leszczyński, artysta dramatyczny teatrów warszawskich, z początkiem lipca wystąpi cztery razy w *Narodnim Divadle* w Pradze w rolach głównych w »Otellu« i w »Pokromiu złoŹnicy«.

* Pani Gabryela Zapolska, znana powieściopisarka i zarazem artystka dramatyczna, mieszkająca stale w Paryżu, wystąpiła znowu na scenie *Théâtre Libre* w roli starej, siwowłosej żydówki w dramacie »Ahasver«, poety belgijskiego Heyermansa. Krytyka i publiczność podniosły przedewszystkiem wyborną charakterystyczną maskę, jaką aktorka pokryła twarz młodą. — Sztuka osnuta jest na kanwie dzisiejszych prześladowań, jakich doznają żydzi w Rosyi. Żaden inny teatr paryski, w obec moskalfilskiego prądu, panującego obecnie we Francyi, nie ośmieliłby się jej wystawić.

* Rektorem uniwersytetu lwowskiego na rok szkolny następny obrany został prof. Dr Ludwik Ćwikliński; dziekanem wydziału prawnego prof. Dr Władysław Abraham; dziekanem wydziału teologicznego Dr Jan BodaŹewski. Rektorem szkoły politechnicznej we Lwowie obrany został prof. Placyd Dziwiński.

* Pani Poradowska, która przetłumaczyła kilka utworów belletrystycznych polskich na język francuski, a w nowellach swoich własnych odzwierca zwykłe stosunki galicyjskie, napisała i wydała w tych dniach w Paryżu powieść, noszącą tytuł: »*Les Filles du Pope*« — (»Córki Popa«) — osnutą również na tle obyczajów i zwyczajów naszych. Krytyka francuska bardzo pochlebnie wyraża się o tem nowem dziele autorki, noszącej — po mężu — polskie nazwisko. *Figaro* poleca ją gorąco swoim czytelnikom i czytelniczkom jako książkę, która może być śmiało czytana przez wszystkich, bez różnicy płci i wieku.

* W maju odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego krakowskiej Akademii Umiejętności, na którym prof. L. Sternbach podał treść prac swych: 1) *Fabularum Aesopiarum sylloge inedita*. 2) *Gnomologium Vaticanum ineditum*. — Następnie Dr Stanisław Windakiewicz podał treść swej pracy p. t. »Teatr Władysławowski (1633 — 1648)«. Pierwszy stały teatr polski zawdzięcza swe powstanie zamiłowaniu Władysława IV do kultury włoskiej. Władysław IV, bawiąc jeszcze jako następca tronu we Włoszech (1624), miał sposobność poznać bliżej operę włoską i zapalić się do teatru z amatorsztwem, właściwem rodzinie Wazów. Po kolei dano dla niego na rozmaitych dworach włoskich sześć baletów i trzy opery, wśród nich »*La liberazione di Ruggiero*« z muzyką Francesco Caccini. Wrażenie tych przedstawień na królewiczu było takie, że począł uczęszczać incognito do teatrów ludowych, że zwiedzał sceny i zainteresował się śpiewaczkami i aktorkami, n. p. sławną Adryaną w Neapolu. Po powrocie zaś do kraju próbował wskrzesić u nas operę włoską; znaczącym faktem jest, że tłumaczenie polskie libretta o Ruggierze ukazuje się równocześnie z wydaniem odpowiednim partytury we Włoszech. Wreszcie roku 1628 wystawiono kosztem królewicza pierwszą operę w Polsce, zapewne przy pomocy jakiejś wędrowniej trupy włoskiej. Tytuł jej brzmi: »*Galatea, favola pescatoria in musica*«, jak się z listów nuncjatury dowiadujemy. Władysław IV wstąpiwszy na tron, urzeczywistnił swoje marzenia o posiadaniu nadwornej trupy teatralnej i w roku 1633 sprowadził sobie doskonałych śpiewaków i aktorów włoskich, którzy początkowo grali na teatrach improwizowanych, a od roku 1637

na stałej scenie na Zamku warszawskim. Trupa ta bawiła w Polsce przez lat 15, od roku 1633 do 1648 i składała się początkowo z sił bardzo popularnych, mianowicie było w niej kilku linoskoczków; później zaś zreformowała się i nabrała cech pierwszorzędnej kompanii aktorskiej. Do składu tej zreformowanej trupy należał Virgilio Puccitelli z Marchii Ankonitańskiej, jako dyrektor i poeta teatralny. Nosił on w Polsce tytuł *secretario del Ré*. Prima-donną tej trupy była Margherita Catanea; kapelmistrzem Maciej Sacchi; dyrygentem chórów Kasper Forszter; maszynistą i dekoratorem Agostino Locci, bas, *architetto del Ré*; wreszcie budowniczym i intendentem teatrów Bartolomeo Bolzoni z Mantui. Repertuar składał się przeważnie z oper, intermedjów, baletów i fars; dramatu i komedyi wyższej aktorzy włoscy nie uprawiali, bo tych nie było we włoskiej literaturze. Ze źródeł współczesnych można wykazać jedenaście przedstawień operowych, danych przez ową trupę w Polsce, z których do naszych czasów dochowały się bądźto oryginalne libretta, bądź też polskie summarysze. Libretta owe w porządku chronologicznym są następujące: 1. *Giuditta* (1635), 2. *Dafne* (1635, 1638 — znana z tłumaczenia Samuela Twardowskiego) 3. *Il Ratto d' Elena* (1636, 1638), 4. *La Santa Cecilia* (1637), 5. *Narciso transformato* (1638), 6. *Armida abbandonata*. Autorem ich był przeważnie Puccitelli, rutynowany pisarz sceniczny, co się zaŹyczy muzyki, to zdaje się, iż była przerabianą ze współczesnych partytur zagranicznych, bo wiadomości o żadnej specjalnej partyturze polskiej nie posiadamy. Co do intermedjów, to naturalnie, iż przeważna ich część mieści się przy powyższych operach. Oprócz tego jednak intermedya dołączano także do wielkich przedstawień baletowych, o których posiadamy znów odrębne opisy. Wreszcie w pamiętnikach i listach z owego czasu napotyamy wzmianki o przedstawieniach fars włoskich. Były to — jak się okazuje — komedye kilkoaktowe, według gotowego scenariusza improwizowane, tak zwane komedye *dell' arte*. Właściwe pojęcie o tym rodzaju sztuki dać nam mogą publikacye włoskie Scali i Bartolego.

* Uroczystość »wianków«, urządzona w tym roku przez towarzystwo gimnastyczne »Sokół« w wigilię św. Jana, powiodła się świetnie i zgromadziła nad Wisłą liczną, kilkotysięczną publiczność.

* Portret *Józefa Supińskiego*, nie wykonczony na czas, pomieścimy w przyszłym numerze *Świata*. — Daty biograficzne do portretu ś. p. *Edmunda Różyckiego*, który dajemy dzisiaj, znajdują czytelnicy w jednym z następnych zeszytów naszego dwutygodnika.

* Zaraz po pogrzebie T. Lenartowicza ukazała się w handlu księgarskim w ładnej oprawie, starannie wydana broszura, będąca hołdem dla poety. Wydawca zatytułował ją »*Lirnikiem mazowieckim*« i przyozdobił portretem autora »Bitwy Raclawickiej«. Składa się ona z ciepło nakreślonego słowa wstępnego, z autobiografii T. Lenartowicza, z opisu pogrzebu we Florencyi, z relacyi o przeniesieniu zwłok ze Włoch do Krakowa i t. d. i t. d. — słowem — z całego historyczno-sprawozdawczego materiału żałobnej uroczystości z d. 12 czerwca b. r. a nadto z głębszej i pięknej krytycznej oceny działalności pisarskiej twórcy »Lirenki«, napisanej przez Adama Balcikowskiego, oraz ze starannie zestawionej bibliografii. Całość przedstawia się nietylko jako miła i zajmująca pamiątka, ale zarazem stanie się w przyszłości dokumentem, świadczącym o czi, jaką otoczono u nas pamięć poety.

* Otrzymujemy następujące pismo: »Teofil Lenartowicz, gdy go śmierć zaskoczyła, kończył przygotowanie do druku »Nowego zbioru poezyj« swoich, z małym wyjątkiem niedrukowanych lub też gruntownie zmienionych. Wy-

daŹnie tych poezyj Mazowieckiego Lirnika mnie zostało powierzone do opracowania. Zadaniu odpowiedniego przygotowania ich do druku oddaję się w tej chwili, tak, żeby z początkiem jesieni b. r. ta droga spuścizna po serdecznym poecie mogła być oddaną pod prasę. Chcąc wszakże, aby wydanie to zawierało, o ile tylko to możliwe, wszystkie poezye dotąd nie wydane, a znajdujące się w rękach osób lub stowarzyszeń, ośmielam się prosić wszystkie czasopisma o powtórzenie tej odezwy, która ma na celu zgromadzić rozproszone utwory Teofila Lenartowicza. Stowarzyszenia lub osoby, będące w posiadaniu niewydanych poezyj poety, proszę o łaskawe nadsyłanie rękopisów w oryginale (z zastrzeżeniem zwrotu) pod adresem: *Wilhelm Bruchnalski w Zakładzie Ossolińskich we Lwowie*. Niezmiernej jest wagi, aby wydanie utworów dotąd nieogłoszonych, było jak najzupełniejsze. Ufam, że wszyscy pospieszą z udzieleniem posiadanych rękopisów, aby przygotowujący się do druku zbiór poezyj ś. p. Teofila Lenartowicza stał się istotnym pomnikiem wzniesionym troskliwą ręką ogółu, serdecznemu poecie i patriocie. *Wilhelm Bruchnalski*.

* Otrzymujemy co następuje: »Do krytycznego wydania dzieł Juliusza Słowackiego, które przygotowuje Księgarnia Polska z objaśnieniami dra H. Biegeleisena, poszukuje się rękopisów i informacji o życiu i pismach poety. Każdą w tym względzie wiadomość prosi najuprzejmiej wydawca przysłać pod adresem Księgarni Polskiej we Lwowie (plac Halicki 1. 14), która nabywa chętnie wszelkie rękopisy odnoszące się do Słowackiego«.

* I znowu z przykrością zaznaczamy figiel dyablika drukarskiego, który zmienił ortografię włoską wiersza, umieszczonego jako godło nad wstępem do nieznanego poematu T. Lenartowicza w numerze poprzednim czasopisma naszego. Powinno być: *Grato m'è 'l sonno e più l'esser di sasso, Mentre che 'l danno e la vergogna dura*.

BIBLIOGRAFIA.

* »*Kiliński*«. Obraz historyczny w pięciu aktach, przez *Jana Zalegę*. — Kraków. Nakładem redakcyi *Kuryera Polskiego*. 1893.

Tego rodzaju utworów ocenionym być może należycie tylko w przedstawieniu, jakkolwiek uważna lektura wskazuje już sama przez się, że jest bardzo interesującym, zupełnie prawidłowo zbudowanym i posiada wszystkie warunki teatralnego powodzenia. Zresztą fakta potwierdziły wyżej wyrażone zdanie. »*Kiliński*«, w czasie względnie nader krótkim, grany był w teatrze poznańskim dwanaście razy, i za każdym razem gromadził przed kinkietami liczną publiczność, co w Poznaniu jest rzeczą nader rzadką. W jesieni ukaże się on także na scenie Teatru hr. Skarbka we Lwowie, poczem — prawdopodobnie — rozporządzenie, zabraniające wystawiania go w teatrze krakowskim cofnięte zostanie. Nie wątpimy, że współzawodniczyć on będzie w trwałym sukcesie z »*Kościuszką*« pod Raclawicami, a dyrekcya nowego teatru znajdując w nim odrazu sztukę, opłacającą się sowicie i długo.

NEKROLOGIA.

* W Paryżu zmarł *Aleksander książę Lubomirski*, fundator wspaniałego zakładu dla opuszczonych chłopców w Krakowie i Magdalenek w Łagiewnikach za Podgórzem. Liczył w chwili zgonu lat dziewięćdziesiąt. Patriotyczną ofiarnością swoją zasłużył na wdzięczność nietylko mieszkańców naszego grodu, ale i wszystkich rodaków, pojmujących ogólny pożytek, płynący z instytucyj, powstałych dzięki jego szczerzej pomocy.

* W Peszcie zmarł w ośmdziesiątym trzecim roku życia *Franciszek Erkel*, słynny kompozytor muzyczny, twórca opery węgierskiej.